№ 18. Warszawa, dnia 20 Kwietnia (2 Maja) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

DYONIZA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMASA (syna)

PRZEKŁAD

Bronisławy K.

(Dalszy ciąg.)

Pani de Pontferrand (wchodząc). Wracajmy do domu, Filibercie.

Pontferrand. Jak chcesz, moja duszko.

Pani de Pontferrand. Co to jest, co gra twoja córka?

Pontferrand. Nie wiem, ale to coś ładnego.

(Klara gra wyjątek z opery Sylwia.)

Pani de Pontferrand. Co ty grasz, Klaro?

Klara (zmieniając nagle wesołą aryjkę na rytm pogrzebowego marsza). Wyjątki z oratoryum, mamo.

Pani de Pontferrand. To oratoryum zaczyna się jakoś bardzo wesoło.

Klara. A bo to są dwie części, jedną grają przy ślubach a drugą na pogrzebach.

Pontferrand (do Thouwenina). Czy nie mówiłem panu, że ta mała ma rozum.

Pani de Pontferrand. Odłóż tę partycyę, przecie nie sposobisz się do teatru. (Fernand wchodzi ubrany, jak do konnej jazdy.) Któż to jest?

Marta. To jest pan Fernand de Thauzette.

(Fernand kłania się z uszanowaniem kobietom.)

Pani de Pontferrand (oddając mu lekki ukłon, mówi cicho do Marty). Nie przedstawiaj mi go teraz, dosyć na to będzie czasu wieczorem. (Na stronie.) Ubrał się jak do cyrku. (Do Pontferranda.) No, Filibercie śpieszmy się, zanim pani de Thauzette nadejdzie.

Fernand (głośno do Dyonizy). Ukazałaś się przecie! Jakże się dziś miewasz?

Dyoniza. Bardzo dobrze, dziękuję ci.

Fernand. A migrena?

Dyoniza. Przeszła już zupełnie.

Pani de Pontferrand (do Marty). Czy między niemi jest jaki stopień pokrewieństwa?

Marta. Nie, tylko ich rodzice żyli z sobą w przyjaźni. Młodzi wychowali się niemal razem i przyzwyczaili się mówić sobie po imieniu.

Pani de Pontferrand (na stronie). A! to przepysznie! (Głośno.) Klaro!

Klara. Słucham mamy.

Pani de Pontferrand. Idziemy.

Klara. Dobrze, mamo. (Do Dyonizy.) Jak się nazywa ten młody człowiek, który przyszedł przed chwilą?

Dyoniza. Pan Fernand de Thauzette.

Pani de Pontferrand (do męża). Filibercie, czy idziesz?

Pontferrand (grzejąc nogi przy kominku). Idę, idę moja duszko! Ale we wrześniu ten ogień na kominku jest taki przyjemny; szkoda, że nie każesz palić u nas w domu.

Pani de Pontferrand. Któż słyszał ogrzewać mieszkanie przed pierwszym listopada! (Ciszej.) Przyjedziemy dziś tu na obiad, bo nie możemy się już wymówić, ale więcej noga moja nie postanie w tym domu. Nie jest to towarzystwo odpowiednie dla Klary, ani nawet dla mnie. Ty zaś, mój mężu, powinieneś udać się do biskupa, ażeby się wdał w to przecie.

Pontferrand. W co takiego?

Pani de Pontferrand. Ażeby uchronić tę panienkę (wskazuje na Martę) od zgubnego wpływu takiego otoczenia.

Pontferrand. Biskup mieszka w Paryżu.

Pani de Pontferrand. A więc pojedziesz do Paryża.

Pontferrand (na stronie). Poślę zaraz telegram... do przyjaciela...

Pani de Pontferrand (do Marty). Do widzenia drogie dziecię. (Do Andrzeja.) żegnam pana.

(Wszyscy wychodzą, wyjąwszy Dyonizy, Marty i Fernanda, który głęboki ukłon składa Klarze.)

Klara (na stronie). Jakiż to śliczny chłopiec!

(Wychodzi.)

Fernand (do Marty w chwili, gdy ta ostatnia ma wyjść bocznemi drzwiami). Pani, przynoszę ci książkę o której mówiłaś wczoraj a którą sam przywiozłem z miasta.

Marta (odbierając książkę). I dlatego, ażeby mi przywieźć książkę, zrobiłeś pan cztery mile konno. Jak to pięknie z pańskiej strony.

Fernand (cicho). W książce znajdziesz pani bilecik.

(Marta kładzie książkę na stole i wychodzi, za nią Klara i Andrzej.)

Fernand (na stronie). Zostawiła książkę, wiedząc, że w niej znajduje się bilecik miłosny. Czy to pogarda, śmiałość lub przezorność? Czy położyła tę książkę w tym celu, ażebym mógł napowrót wyjąć z niej bilecik... czy też może przyjdzie po nią?... Zobaczymy.

(Przez ten czas Dyoniza składa nuty, zamyka fortepian, ale ani razu nie spogląda na Fernanda. Fernand także na nią nie patrzy, grzeje się nibyto przed kominkiem a patrzy w okno. Dyoniza skończywszy układać podchodzi ku drzwiom, lecz spotyka w progu ojca.)

Fernand. Dzień dobry, panie Brissot.

Brissot. Dzień dobry, mój przyjacielu.

Dyoniza. Dzień dobry, mój ojcze.

Brissot. To prawda, że cię dziś jeszcze nie widziałem. (Dyoniza chce wyjść.) Dokąd idziesz, moje dziecko?

Dyoniza. Panna de Bardannes ma wyjechać konno. Poszła się właśnie ubierać, muszę zatem zobaczyć czy czego nie potrzebuje.

Brissot. Idź, idź moje dziecię, nie będziesz nigdy za zbyt dla niej uprzejmą. (Całuje Dyonizę, która wychodzi.) Zapomniałem o projektowanej na dziś rano wycieczce.

Fernand. Czy pan z nami jedziesz?

Brissot. Nie, gdyż muszę zajrzeć do fabryki i do stada. Chcę, aby pan Thouwenin zastał wszystko w porządku, szukam nawet pana hrabiego, aby go zapytać...

Thouwenin (wchodząc, odpowiada na powyższe słowa). Pan de Bardannes jest w ogrodzie. Odprowadził państwa de Pontferrand aż do kraty... Przypatrywałem się już potrosze pańskiej pracy, panie Brissot i muszę panu powinszować. Obznajmiłeś się pan szybko ze wszystkiem.

Brissot. Starałem się, aby wszystko było jak najlepiej i tak jakoś łatwo mi to poszło, może dlatego, że kocham tego, dla którego pracuję.

Thouwenin. Pan kochasz hrabiego?

Brissot. Jak syna, łaskawy panie.

(Wychodzi.)

SCENA II.

Fernand, Thouwenin.

Thouwenin (do Fernanda). Tak wcześnie, a pan już jesteś gotów?

Fernand. O! byłem już w mieście nawet.

Thouwenin. Widziałem pana z daleka, dziś rano; ja także konnej używałem przejażdżki.

Fernand. A ja pana jednak nie widziałem.

Thouwenin. Byłeś pan jakoś niezwykle zamyślony, najpewniej... o jakiej piękności co czaruje i zachwyca.

Fernand. Prawdopodobnie, przyznam się nawet otwarcie, że od pewnego czasu tylko o tem myślę, i zamyślam się.

Thouwenin. Od kiedy?

Fernand. Od lat szesnastu; to zwykła epoka w której zaczyna się zachwyt wszystkiem co piękne i urocze.

Thouwenin. Ale nie dla wszystkich.

Fernand. Czy chcesz mi pan przez to dać do zrozumienia, że sam nigdy się nie kochałeś?

Thouwenin. Ależ przeciwnie; kocham się w mojej żonie i to już od lat dwunastu.

Fernand. A przedtem, nie byłeś pan ani razu zakochany?

Thouwenin. Przedtem... musiałem myśléć o czem innem nie o miłości. Musiałem pracować na swoje i matki mej utrzymanie. Matka owdowiała wcześnie, więc i ja wcześnie poznałem co to są świetne obowiązki życia. Droga, kochana matka, nie miała wykształcenia, była prostą kobietą, ale serce miała złote, a i ja byłem tylko prostym robotnikiem, bardzo skromnym. Dlatego... tylko się pan nie śmiej ze mnie bardzo... otóż dlatego przysiągłem sobie, że nigdy nie zbliżę się do żadnej kobiety, tylko jedynie do tej co będzie moją żoną.

Fernand. I dotrzymałeś słowa?

Thouwenin. A naturalnie.

Fernand. Ileżeś miał lat, kiedyś się ożenił?

Thouwenin. Dwadzieścia ośm.

Fernand. Ah! jakież to śmieszne!

Thouwenin. Cóż w tem jest śmiesznego, tego nie rozumiem. Używając pańskiego wyrażenia powiem, że to jest raczej śmiesznem, jeśli mężczyzna powie dwóm kobietom, że je kocha. W chwili, gdy człowiek szlachetny powie kobiecie słowo kocham, jest niem już związany na całe życie. W miłości trzeba się zawsze wpierw namyślać, bo zastanów się pan co to jest za wzniosły wyraz kocham, wyraz, który pan wymawiasz z taką czcią do matki i z takiem rozrzewnieniem do własnych dzieci.

Fernand. Rozmaite się odcienia miłości.

Thouwenin. Ale wyraz jest ten sam, więc i istota rzeczy pozostaje niezmienioną.

Fernand. Porozumiejmy się, łaskawy panie. Ja po tygodniu najserdeczniejszej zażyłości z kobietą nie mam jej już nic nowego do powiedzenia, a i ona jestem pewny nudzi się także w mojem towarzystwie. Bo cóż jest podstawą miłości? Czyż nie ciągłe pragnienie zmiany, poszukiwanie czegoś nieznanego, tajemniczość a nawet niebezpieczeństwo podniecające nerwy i wyobraźnię. Ale kto widział tyle co ja w życiu, ten śmiało może twierdzić, że kobieta nigdy szczerze nie kocha.

Thouwenin. Tak pan sądzisz?

Fernand. O! jestem tego pewien!

Thouwenin. Dowiedź-że mi pan to faktami.

Fernand. To rzecz bardzo łatwa. Pomińmy zupełnie kobiety w rodzaju Lais lub Manon, bo wiemy doskonale co one nazywają miłością.

Thouwenin. Na to zgadzam się w zupełności.

Fernand. Co do kobiet zamężnych, uczucie ich nie można także nazwać miłością, jest-to raczej niechęć i złość za zawód doznany w małżeństwie. Chcą one zemścić się na mężu, który ich ocenić nie umiał.

Thouwenin. A młode dziewczęta, które wychodzą za mąż?

Fernand. Albo,ż to czynią z miłości? Jedne idą za mąż dla zwyczaju, aby nie zostać staremi pannami, drugie dla majątku lub stanowiska. To jeszcze dobrze jeśli nie czują wstrętu do przyszłego męża, jeśli lubią go trochę, ale kochać? Czyż mogą nawet rozumiéć to wielkie i święte uczucie?

Thouwenin. A te dziewczęta, które porzucone zabijają się z rozpaczy, czy i one nie kochają?

Fernand. Zapewne, że nie; są to po większej części ubogie dziewczęta, które lękając się nędzy i osamotnienia, mają nadzieję wyjścia za mąż, a gdy ta nadzieja je zawiedzie, tracą wtedy głowę i odbierają sobie życie. Jeśli zaś który mężczyzna ożeni się z taką dziewczyną, to los jego nie do zazdrości.

Thouwenin. Ale przynajmniej ma spokojne sumienie, gdyż spełnił obowiązek.

Fernand. A cóż jest to co nazywamy obowiązkiem? Rzecz której wymagamy od innych, a sami nie wypełniamy jej nigdy. Nie bawiąc się wcale w żadne poetyczne określenia, powiedzmy otwarcie czem jest miłość? Oto nieustanną walką między mężczyzną a kobietą o zdobycz serca. Które z nich zwycięży, to tryumfuje. Biada kobiecie, gdy wprzód od mężczyzny ofiarę mu zrobi ze swego uczucia. W walce zaś tej wszystkie sposoby są dobre, aby tylko dopiąć zamierzonego celu. Biada zwyciężonym!

Thouwenin. A więc nic od nas nie należy się kobietom?

Fernand. Ależ przeciwni, winniśmy im szacunek jako żonom, względy i tajemnicę, kiedy nie są żonami.

Thouwenin. A zatem, to spuścizna po don Juanie?

Fernand. Tak, don Juan jeden miał dokładne wyobrażenie o zmienności kobiet. Elwira, donna Anna, Żerlina, wszystkie one powiedzą mu jedno, ale w odrębnej przynajmniej formie.

Thouwenin. A Komandor?

Fernand. Komandor? Niechaj zawita do mnie, wraz z ogniem i mękami piekielnemi, przyjmę go z ochotą i poczęstuję pchnięciem szpady i dobrą wieczerzą, jeśliby tylko miał córkę godną tego kłopotu. Zresztą, samo zjawienie się Komandora jużby mi sprawiło pewne wrażenie, a wrażenie to życie!

Thouwenin. A! teraz to już rozumiem! Jeden z moich przyjaciół, który był policyjnym szpiegiem...

Fernand. Szpiegiem?

Thouwenin. Tak.

Fernand. A to pan masz ślicznych przyjaciół, winszuję.

Thouwenin. O! ja dobrze wybieram. Otóż mój przyjaciel powiedział mi, że zawód jego gorszy niż zawód don Juana, nastręczał mu mnóstwo niepojętych a rozkosznych wrażeń. Mówił mi, że kiedy ściskał dłoń towarzysza lub przyjaciela, kiedy widział się w jego zaufanie, kiedy podchwytywał jego tajemnicę i kiedy następnie zdradzał go i widział uwięzionym, skazanym bez zwrócenia na siebie podejrzenia; gdy następnie odwiedzał go w więzieniu i był obecny ostatniemu pożegnaniu nieszczęśliwego z żoną i dziećmi, kiedy jako mniemany przyjaciel, przyjmował ostatnie jego rozporządzenia, doznawał, mówię, tak potężnego wrażenia, że uczucia pańskie w obec tego muszą się wydać niezmiernie błahemi. Jednakże najsilniejszem w jego życiu wrażeniem, musiała być ta chwila, gdy pewnej nocy w ciemnej i pustej z pozoru uliczce, napadło go czterech drabów i zdusiło bez miłosierdzia. Szkoda tylko, że tem ostatniem wrażeniem nie mógł się już z nikim podzielić. Doznał on wtedy zapewne uczucia o jakiem

pan nie masz jeszcze wyobrażenia, ale które życzę, aby pana nie minęło.

Fernand. Ale, kochany panie, pozwól sobie powiedzieć...

Thouwenin. Ale otóż nadchodzi panna Brissot, dokończymy zatem naszej rozmowy kiedy indziej, widzę, że to pana zajęło.

SCENA III.

Ciż sami, Dyoniza, później **Andrzej.**

Dyoniza (do Fernanda). Fernandzie, proszę cię.

Fernand. Czego sobie życzysz?

Dyoniza. Gdzie jest ta książka, którą przywiozłeś dla panny de Bardannes?

Fernand. Leży na stole. Czy panna Marta już gotowa?

Dyoniza. Jeszcze nie, ale już kończy się ubierać.

(Bierze książkę ze stołu.)

Andrzej (wchodząc do Dyonizy). Nie mogłem się nawet zapytać pani przed chwilą, w obec tylu osób jak się pani miewa dzisiaj? Czy ból głowy przeszedł już zupełnie? Żałowałem bardzo, że pani nie dotrzymała nam wczoraj towarzystwa, tem więcej, że pomiędzy gośćmi znajdowali się i dobrzy znajomi pani: Fernand de Thauzette z matką, teraz przedstawiam pani jeszcze pana Thouwenin, któremu ojciec pani podobał się niezmiernie. Spodziewam się, że dziś wieczorem zechcesz pani obiadować z nami, jakoteż szanowni jej rodzice.

Dyoniza. I owszem; matka wspominała mi już o uprzejmem pańskiem zaproszeniu.

Fernand (do Andrzeja). Ja tymczasem dosiądę konia, na którym ma jechać twoja siostra; czy będziesz nam towarzyszył?

Andrzej. Nie, mój kochany, mamy z panem Thouwenin zrobić przegląd gospodarstwa.

Fernand. A zatem do widzenia.

(Wychodzi.)

SCENA IV.

Ciż sami z wyjątkiem **Fernanda,** później **pani de Thauzette.**

Dyoniza (do Andrzeja). Panie hrabio, chciałam ci powiedzieć jedno słówko... (Thouwenin oddala się o kilka kroków.) O! to nie jest żadna tajemnica, panie.

(Thouwenin zaczyna słuchać.)

Dyoniza (do Andrzeja). Chciałam panu powiedzieć, że pańska siostra jest dziś jakoś nerwowo rozdrażnioną.

Andrzej. Na nieszczęście ona prawie zawsze jest w takiem usposobieniu.

Dyoniza. Tak, ale od dwóch albo trzech dni rozdrażnienie to wzrasta i to mnie właśnie niepokoi.

Andrzej. Nie rozumiem jaki może być tego powód. Wiem, że panią lubi bardzo, bo nieraz sama mi o tem mówiła.

Dyoniza. Zdaje mi się, że ma w głębi serca odrobinę do mnie przywiązania i że niezdolną jest ukrywać się z czem przedemną lub przed panem, panie hrabio.

Andrzej. A dlaczegóżby miała być nieszczerą względem mnie?

Dyoniza. Czy pan hrabia pozwoli mi mówić otwarcie?

Andrzej. Owszem, proszę panią o to.

Dyoniza. Otóż zdaje mi się, że pan jesteś zbyt obojętnym dla siostry. Ona sądzi, że pan jej nie kocha, a choć nie było o tem mowy między nami, widzę, że panna Marta ma jakieś ukryte zmartwienie. Pomyśl, panie hrabio, że siostra twoja jest sierotą, że prawie nie pamięta pieszczot rodzicielskich, że dziesięć lat spędziła w klasztorze i ciebie jednego ma tylko na świecie.

Andrzej. Wiem to wszystko, aż nadto dobrze, ale to wina okoliczności, które dziwną zaporę postawiły między nami. Przez dziesięć lat które Marta spędziła w klasztorze, widywałem ją bardzo rzadko i przy każdem widzeniu mówiła mi zawsze, że pragnie być zakonicą; to samo już dowodziło, że nie ma żadnego do mnie przywiązania. Ja szanuję przekonania drugich i gdybym wiedział, że moja siostra ma istotne do klasztoru powołanie, nie sprzeciwiałbym się jej wcale. Świat jest teraz tak zepsuty, że każda szlachetniejsza natura musi doznać wstrętu przy pierwszem zetknięciu się z nim, musi dążyć tembardziej do Boga. Taki był wzajemny nasz stosunek, gdy pani de Thauzette, której wspomniałem, że potrzebuję uczciwego człowieka do zarządu dóbr moich, przedstawiła mi ojca twego, panno Dyonizo. W krótkim czasie oceniłem go tak, jak na to zasługiwał; poznałem zarazem twoją matkę i ciebie pani, i mogłem zadość uczynić najgorętszemu mojemu życzeniu; mogłem odebrać siostrę z klasztoru, mając dla niej tak troskliwą w obydwóch paniach opiekę. Chciałem aby dobrze poznała ten świat, którego tak pragnęła się wyrzec. Ale tu znów nowa nastręczyła się trudność; z siostrą rozstałem się, gdy ta ostatnia była jeszcze małem dziecięciem, teraz ujrzałem ją już panną dorosłą i wyznam otwarcie, że jestem wobec niej trochę skrępowany. Boję się zrazić ją jakiem zbyt śmiałem słówkiem, ją która żyła dotychczas w towarzystwie świątobliwych osób. Wspomnienia wspólnych, młodzieńczych zabaw nie łączą nas wcale, mam dla niej względy jakiebym miał dla każdej obcej dziewicy, a nie mam tej braterskiej czułości, która każe zapominać o różnicy wieku. To więc co Marta bierze za obojętność jest tylko raczej oznaką szacunku. Wszak pojmujesz to Thouwenin?

Thouwenin. Najzupełniej.

Dyoniza. I ja to rozumiem, panie hrabio i starałam się to wytłomaczyć pannie Marcie. Zdawało mi się nawet, że ją przekonałam, ale widzę, że od dni kilku panna de Bardannes unika mnie widocznie i lękam się czy pozbawiona w klasztorze wszelkich serdeczniejszych uczuć nie obdarzy swem zaufaniem kogoś, nie zasługującego na to bynajmniej. Błagam cię tylko, panie hrabio, nie wspominaj jej nic o naszej rozmowie, bo w takiem usposobieniu, w jakiem się obecnie znajduje, mogłaby się zrazić do mnie, a wtedy moje towarzystwo byłoby dla niej i dla mnie przykre. Staraj się pan zbliżyć do niej i pozyskać jej zaufanie; oto jedyna rada, jaką ośmielam się udzielić panu, w obec pana Thouwenin, który jak wiem, jest najlepszym pańskim przyjacielem. Dziś jednak, kiedy siostra pańska jest tak rozdrażnioną, radziłabym aby jeśli pan pozwoli, ojciec mój towarzyszył jej w tej konnej przejażdżce. Wprawdzie pani de Thauzette i Fernand doskonale umieją powodować koniem, ale może nie zwrócą uwagi na niebezpieczeństwo grożące mniej wprawnej osobie.

Andrzej. I owszem, proś pani o to ojca, a sama pozwól sobie złożyć serdeczne dzięki, (ściska jej rękę) za troskliwość jaką okazujesz mojej siostrze. Jakżem szczęśliwy, że siostra moja ma taką towarzyszkę. Od dnia dzisiejszego zastosuję się do rady pani i będę częściej rozmawiał z Martą; a nawet proszę abyś pani oznajmiła jej, że chcę z nią mówić, gdy wróci ze spaceru.

(Dyoniza kłania się i odchodzi.)

Thouwenin (do Andrzeja). Jakaż to śliczna i miła dziewczyna!

Andrzej. Tak... tak...

Pani de Thauzette (wchodzi ubrana jak do konnej jazdy). Dzień dobry, kochany hrabio. (Do Thouwenina.) Dzień dobry panu, czy jedziesz z nami?

Thouwenin. Nie, pani, pójdę dojrzeć robót jakie radziłem, aby hrabia zarządzić kazał.

Andrzej. Nieoszacowany człowiek z tego pana Thouwenin. W chwili, kiedy miałem już sprzedać zrujnowany majątek, on mi wskazał jak przez pracę i oszczędność można go podźwignąć. Dzięki jego radom wyrzekłem się Paryża, zamieszkałem na wsi i zająłem się gospodarstwem. Do niego zatem miej pani urazę, że chcąc odwiedzić dawnego przyjaciela, musisz narażać się na przyjazd do niego.

Pani de Thauzette. O! nie żal mi trudów podróży, gdyż uprzejmość gospodarza sowicie je wynagradza.

Thouwenin. Żegnam panią.

(Pani de Thauzatte podaje mu rękę.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z marzeń szaleńca.

Ha! w piersiach gore, w oczach skier tysiące,
Nie sen to żaden, nie jawa;
Stopy jak z lodu, ręce gorące,
Źrenica krwawa...
Jestem i myślę... ale gdzież ja byłem?
Czem teraz jestem? co śniłem?

Ja jestem krzyżem przy drodze,
Już mnie mech pokrył starości:
Jak upiór trwożę i zwodzę,
Świecącem próchnem przeszłości.

Ja jestem krzyżem mogilnym,
Na grobie ulud i zdarzeń,
Aby milczeniem bezsilnem,
Budzić do cierpień i wrażeń.

Ja jestem krzyżem cmentarnym,
Na którym napis wyryty:
Świat ten ołtarzem ofiarnym,
Na nim duch czynu zabity.

Ja jestem krzyżem w pustyni,
Spoglądam w przestrzeń z kurhanu,
I śledzę, czy w łez świątyni,
Jeszcze kto składa cześć Panu?

Ja jestem krzyżem wśród boru,
Przy czystem źródle pamiątek;
Nie daję życia pozoru,
Choć we mnie życia początek.

Ha! dziwne, dziwne me dzieje,
Świat u stóp płynie jak fala;
Raz je krwią własną obleje,
To ogniem gniewu podpala;
To drżący tuli do łona,
To plwa i ciska kamieniem,
A ja — wyciągam ramiona,
I błogosławię wejrzeniem...
Tak, krzyżem jestem... lub byłem...
Na własnym grobie wzniesionym;
Niech krzyż opowie co śniłem
W śnie o północy prześnionym.

I znów nim jestem i tym samym — wiecie,
Co Chrystus dzieckiem pieścił w Nazarecie —
O! krzyż to stary, stary,
Ale nie dla was mędrkowie bez wiary.

I. Laskarys.

KLEMENS JANICKI.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg.)

W jakim charakterze bawił Bellaroka w Wiśniczu.

Łatwo teraz pojąć jakie stanowisko panna Elżbieta zajmowała w domu państwa Kmitów. Kochana i pieszczona przez wojewodzinę, przez wojewodę uważana jako wychowanica i krewna żony, szanowana przez wszystkich rezydentów, gdyż za jej wstawieniem się uzyskiwano łaski pańskie, dworzanie na wyścigi ofiarowywali jej swe usługi, wszyscy uradowani byli jej przybyciem i otaczali przywiązaniem i szacunkiem. O tem wszystkiem donosił p. Wydżga staroście, który samotność swoją pocieszał szczęściem ukochanej córki. Te oznaki powierzchowne były widzialne dla wszystkich, lecz co się działo w sercu panny Elżbiety, jej tylko było wiadomo.

Gdy po śmierci arcybiskupa Krzyckiego, swego opiekuna, Klemens Janicki przybył do dworu wojewody Kmity, który mu swą protekcyą ofiarował, przed wysłaniem swem do Padwy, parę miesięcy bawił w Wiśniczu. Miał wówczas lat dwadzieścia, wiek zapału, wrażeń, w którym wre umysł, a serce żywo bije. W poważnem dworskiem otoczeniu, ujrzał młodą, piękną, wesołą Elżusię; wiek stosowny prędko ich zbliżył do siebie, niewinne zabawy, lekkie rozmowy tchnące świeżością młodości, wyrodziły jakieś pobratymstwo, jakąś harmonią, która ani przyjaźnią, ani miłością nazwać się nie może, jednak jest uczuciem z którego oba rozwinąć się mogą. Cała różnica tych uczuć jest ta, iż nie mieści w sobie tęsknoty, ani łza, ani smutek ją nie podsyca, lecz jasna i wesoła chce ręka w rękę razem bujać i żyć nierozłącznie. Klemens codziennie przynosił jej uzbierane kwiaty, które Elżusia muskała swemi usty i stroiła swój pokoik. Raz się wymówiła, że mogłaby żyć samemi przepiórkami.

Młodzieniec ze wschodem słońca pobiegł na pokosy i złapawszy sporą wiązkę, posłał jej z przyłączonym tym wierszykiem:

Nam szczęsnej doli uśmiecha się łaska,
Tak pięknej pani, gdy dostać się zdarzy,
Może nas rączka bieluchna pogłaska
I pieszczotami Elżusia obdarzy.
Może nam błyśnie jej źrenica słodka,
Co Janickiemu jest szczęściem jedynie,
Ku czemu tylu i wzdycha i ginie,
Pobite ptaszki to szczęście napotka,
Choć nam odjęte życie i swoboda,
Za takie szczęście i życia nie szkoda.

Ten wierszyk najlepiej oznacza to niewinne uczucie, jakie zrodziło się w ich sercach, nie ma tu wrzącej miłości, lecz jest wdzięk świeżego uczucia, które się podnosi do uwielbienia.

Tak upłynęło dwa miesiące, gdy nadszedł dzień wyjazdu Klemensa do Padwy. Pierwszy raz smutek oblał ich serca, jakiś niepokój ich ogarnął, pożegnanie było tęskne. Dopiero, gdy pan Klemens wyjechawszy z Wiśnicza, spojrzał na zamek, łza mu się stoczyła na lica. Elżbieta niechcąc okazać wzruszenia, gdy się zamknęła w swojej komnacie, łezka zabłysła w jej oku. Te dwie łzy gorące były żarzewiem nieznanego im dotąd uczucia, te dwie kropelki wpłynęły na życie ich całe, jego stworzyły poetą, a ją bohaterką poświęcenia.

Wiemy jak Janicki spędzał swój czas na naukach we Włoszech, listy które pisywał do wojewody, posyłane wiersze na cześć jego, były głośno przy wszystkich czytywane, w nich niewyraźne ustępy dla drugich, przez pannę Elżbietę były zrozumiane, gdyż w każdym liście, w każdym wierszu, była myśl zawsze jedna dla niej poświęcona. Tryumfy jego w naukach pobudzały ją do coraz pilniejszego kształcenia własnego umysłu, jak zjednoczeni byli sercem, żądała aby i nauką się nie różnili. Jeszcze przy matce, nauczywszy się po łacinie i włosku, z gorliwością wczytywała się w uczone księgi, a rozmowy z wojewodą, coraz bardziej rozwijały jej umysł.

Zwykle oddają sprawiedliwość naszym dawnym kobietom, iż były moralne i religijne; lecz o ich wykształceniu nikt wspomnieć nie raczy, jakby były biednemi istotami, zajętemi tylko wewnętrznemi domowemi kłopotami. Tymczasem liczne szeregi matron polskich wpływały na politykę państwa, wyższością swego umysłu tworzyły dla kraju mężów oręża, rady i pióra, wszczepiały w nowe pokolenia gotowość poświęcenia dla wiary i ojczyzny.

Wpływ taki musiał wynikać z hartu ducha nabytego wiarą i umysłowem wykształceniem. Z tych przyczyn matrony nasze były w tak wielkiem poszanowaniu. Królowe nasze wprowadzały zachodnią oświatę, upowszechniały obce języki, otaczały się uczonymi, co pobudzało do naśladowania i wpłynęło na ogólną oświatę.

W zamku było zawsze ludno. Dygnitarze odwiedzali wojewodę, nawet litewscy panowie zjeżdżali do Wiśnicza. Nie brakło i uczonych, jak: Maciej Miechowita lekarz Zygmunta I i historyk, młody Jan Herburt z Fulsztyna, sekretarz króla, później kasztelan sanocki, wychowany przez Zygmunta w Lowanium, który wydał *Chronica sive historiae polonicae compendiosa*. Świętosław z Wocieszyna doktor ak. krak., tłomacz statutu Wiślickiego i Jagielońskiej ustawy, Marcin Bielski, którego Kmita zachęcił do pisania historyi po polsku. Bawił także na dworze ksiądz Stanisław Orzechowski i ksiądz Krowicki, obaj uczeni i wymowni; lecz wojewodzina dostrzegłszy w nich kacerskie dążności, uprosiła męża o ich oddalenie i wielu innych zgromadzało się do miłośnika nauk, właściciela Wiśnicza. Lecz i grono rezydentów było liczne, na jurgelcie pańskim byli Szczerbowie, Jan Rozberski, Wojakowski, Baranowski, Kumetski, Odaliński, Janko i Piotr Biały i Pełkowie. Szlachta przywoziła swych synów, niektórzy korzystając z gościnności, przyjechawszy na czas krótki, lata przesiadywali.

Między takimi rezydentami był Comes Aloizy Bellaroka, wywieziony z Mantuy przez hrabiego Jana Tarnowskiego. Przeszłość jego była nieznana, wiadomo tylko było, że z Rzymu musiał uciekać do Wenecyi, ztamtąd do Werony, z Werony do Pizy. Polityczne jego zasady miały wywołać te przymusowe przesiedlania się. W Mantui rozmyślał, gdzie ma dalej swe kroki skierować, lecz niespodzianym trafem zapoznał się z Janem Tarnowskim, bawiącym wówczas we Włoszech. A że był wykształcony i uprzejmy, przyjazne stosunki się zawiązały, po których nastąpiły zwierzenia. Uskarżał się na despotyzm włoskich rządów, na nietolerancyą religijną i polityczną, że mając pojęcie o godności człowieka, chciałby znaleźć kraj, w którym swoboda jest uszanowaną. Tarnowski mu przedstawił, że w Europie jest tylko jeden naród, który się cieszy wolnością, gdzie wszystkie opinie są w poszanowaniu, a tym krajem jest Polska. Oświadczył się więc Bellaroka z chęcią zwiedzenia tej marzonej Rzeczypospolitej przez Platona, a Tarnowski gościnnie swój dom mu ofiarował. Tym sposobem hrabia Aloizy Bellaroka dostał się do Polski. Cudzoziemcy zawsze u nas z uprzejmością byli przyjmowani. Sektarze, przestępcy polityczni z Niemiec, Włoch i Moskwy, znajdowali przytułek na naszej ziemi; czem dziś dla prześladowanych jest Anglia, Francya i Ameryka, tem w wieku XVI, jedynem bezpiecznem schronieniem była Polska. Ogłada i powierzchowne encyklopedyczne znajomości różnych gałęzi nauk, były przymiotami hrabiego Aloizego, lecz ujemne strony przewyższały. Umysł choć był żywy, ale niespokojny, ciekawość go wiodła do badania i odkrywania różnych tajemnic, które uchwycone, służyły mu za narzędzie dla osobistych korzyści. Mało wierzył w Boga, mniej w szlachetne uczucia, a jawnych złych postępków wystrzegał się o tyle, o ile były przewidziane kodeksem karnym. Umiał badać charaktery, podchlebstwem wciskał się do zażyłości. Jak kameleon przybierał powierzchownie te kolory, na jakim przedmiocie usiadał, lecz wewnątrz był samym sobą, żadnym wpływom nie ulegał.

* * *

Jan Tarnowski był synem Jana Amora hrabiego na Tarnowie, kasztelana krakowskiego i Zawiszanki córki Zawiszy Czarnego. Odebrał staranne wychowanie, po ukończeniu nauk, zwiedził Wschód, Jerozolimę, Aleksandryę, Egipt, Ateny, Rzym, zkąd udał się do Hiszpanii i w Portugalii zaciągnął się do wojska króla Emanuela i mężnie walczył przeciw Maurom, przez Francyą, Anglią i Niemcy wrócił do kraju.

Wrzała wówczas wojna w Węgrzech, Soliman zagrażał chrześciaństwu, Zygmunt w pomoc Ludwikowi synowcowi swemu wyprawił Jana Tarnowskiego z pocztem rycerzy. Tam okazał wielką zdolność, męztwo i umiejętność utrzymania karności. Polska przeczuwała w nim wielkiego wodza i po śmierci Firleja kasz. krak. i hetmana

wielkiego-koronnego, król mu wielką buławę wręczył. Wkrótce, gdy Petryłło wojewoda wołoski chciał zrzucić z siebie hołdownictwo Polski, z pięciotysięcznem wojskiem wyruszył Jan Tarnowski na Pokucie, gdzie w Grodźku zniósł sześciotysięczny oddział Wołochów, a hospodara z dwudziestopięcio-tysiącznem wojskiem pod Obertynem zbił i zmusił do upokorzenia się i przeproszenia króla za bunt nierozważny. Z ogromnemi łupami, z odzyskanemi harmatami, utraconemi za Olbrachta w bitwie Bukowińskiej, przybył do Krakowa, gdzie przyjęty przez króla, panów i naród z zapałem, zawiesił na Wawelu, przy grobie św. Stanisława, trofea i chorągwie zdobyte.

Wróciwszy do Tarnowa, poślubił Barbarę z Tęczyna, a po niedługiem z nią pożyciu, pojął Zofię córkę Krzysztofa Szydłowieckiego kasztelana krakowskiego. Dwór był z ogromną okazałością utrzymany, dworzan, sług bez liku, lecz i tu panowała wojskowa karność: wszyscy hetmana kochali, ale srodze go się bali. Gościnne podwoje nietylko dla panów i szlachty stały otworem, ale i głowy koronowane znachodziły w Tarnowie przytułek. Gdy Janusz król węgierski wygnanym został z Węgier przez cesarza Ferdynanda i nie mógł znaleźć dla siebie bezpiecznego miejsca, dom swój Tarnowski mu ofiarował, przez dwa lata ze wspaniałością królewską go podejmował, a później mimo groźb cesarza, powrót do Węgier mu ułatwił. Król tron odzyskawszy, przysłał hetmanowi w upominku tarczę z buławą, wartującą czterdzieści tysięcy czerwonych złotych węgierskich.

Takie były czyny, taka była sława Jana Tarnowskiego w epoce naszego opowiadania, nie wspominamy o dalszych jego usługach oddanych ojczyźnie. Był to mąż posiadający wszystkie zdolności znakomitego wodza, przy surowości miał zacne i szlachetne serce, każdemu był gotów swą pomoc udzielać. Dobro kraju i dobro współbraci było celem jego życia. Lecz do wszystkich tych cnót łączyła się jedna wada, zawiść, która nie pozwalała mu urazę przebaczyć, mały opór gniew wywoływał, który raz powzięty, do końca życia nie mógł się ostudzić. Taką nienawiść powziął był hetman, do swego rodzonego siostrzeńca Piotra Kmity wojewody krakowskiego. Samuel Maciejowski kanclerz i biskup krakowski, widząc, iż na niezgodzie tych dwóch zasłużonych mężów ojczyzna szkodowała, kilka razy ich godził, lecz rozjątrzenie zawsze wracało. Początek tej zawiści był błahy: szło naprzód o dobra Szczebrzeszyn, które Tarnowski objął, do których Kmita rościł sobie prawo; później gdy zawakowało po Szydłowieckim starostwo krakowskie o które wszelkiemi sposobami hetman się starał, Kmita wsparty staraniem królowej, takowe starostwo otrzymał od króla: do tego stopnia rozjątrzyło to Tarnowskiego, iż chciał buławę złożyć, dobra w Czechach zakupić i na zawsze wynieść się z kraju. Król stłumił jego urazę, lecz nienawiść dla Kmity pozostała.

Oba mieli licznych stronników, naród więc był na dwa obozy podzielony. Kmita był pan szlachcic, strzegł wolności kastowej, lubo jej przywileje chciał na niższe warstwy rozszerzyć przez podniesienie oświaty. Tarnowski swym tytułem hrabiowskim podkopywał równość szlachecką, kochał naród, lecz nie zważał na to co on chce, lecz co dla niego było pożytecznem. I ci dwaj dygnitarze pokrewni z sobą, gotowi oba do wszelkich poświęceń dla dobra ojczyzny, uprawiając oba obywatelskie cnoty, nie mogli sobie podać ręki, dla jednej wrodzonej wady, zawiści, prócz niej wszystko zwalczyć mogli.

Takie trwały nieprzyjazne stosunki między Wiśniczem a Tarnowem, gdy hrabia Aloizy Bellaroka bawił na dworze hetmana. Chociaż pobierał roczna pensyę, jednak wzdychał do jakiegoś czynnego zajęcia, używany był czasami do pisania włoskich listów; lecz urzędu sekretarza dobić się nie mógł, umyślił więc prosić hetmana o powierzenie mu wychowania syna Jana Krzysztofa, lecz Tarnowski mu odpowiedział:

— Cenię waćpana, mości hrabio, ale kwoczka niemoże wychowywać gąsiora; inne mamy zwyczaje, obyczaje i dążności, jak Włosi: Polak tylko przez Polaka może być wychowany. Mamci ja już takich, którym ślepo ufam, jak p. Jakób Niemieckowski, Jan Zaborowski proboszcz sandomierski i Jakób Szkulniński, uczeni i uczciwi, w naukach i obyczajach wyćwiczą mego chłopaka.

Tak kategoryczna odpowiedź wielce zasmuciła pana Aloizego, ale niezniechęciła go, do dalszych starań o jakąś pasadę. Namyślał się, kombinował, w końcu wykrzyknął: „Eureka"! znalazłem! Chodził z swoim pomysłem jak z ukrytym skarbem i czekał stosownej pory, aby płód swych rozmyślań przedstawić hetmanowi. Nie mogąc się jej doczekać prosił o szczególną audyencyę. Gdy na posłuchanie godzinę miał wyznaczoną, wszedłszy i pozdrowiwszy hetmana rzekł:

— Wasza dostojność biegła w sztuce strategicznej, z łatwością mnie pojmie, iż przezorny wódz w obozie nieprzyjacielskim powinien mieć języka, aby być uprzedzonym o planach wroga.

— Masz słuszność, hrabio, lecz nie wiem do czego twe słowa dążą; przecież w tej chwili nie mamy wojny.

— Tak, dostojny hetmanie, lecz są nieprzyjaciele zewnętrzni i wewnętrzni.

— Prócz szajki Kmitowskiej nie mam w Polsce nikogo przeciw sobie.

— O niej chcę mówić, dostojny hetmanie. Knowania p. wojewody krakowskiego, do głębi duszy mnie obrażają. Kto jest przeciwko tobie, hetmanie, jest moim wrogiem. Dopomódz ci do zwycięztwa, do upokorzenia nieprzyjaciela jest moim obowiązkiem, dla twojej sprawy zawsze poświęcić się jestem gotów.

— Nie widzę, mości hrabio, jaką możesz grać rolę w mojem zajściu z panem wojewodą krakowskim.

— Mówiłem, dostojny hetmanie, że wódz powinien wiedzieć o planach wroga: ja wszystko wykryć i donosić mogę.

— Jakim środkiem, mości hrabio?

— Mogę się umieścić w Wiśnickim zamku i ztamtąd każde wyrzeczone słowo, może przylecieć do Tarnowa.

— Cóż, hrabio, chcesz na siebie przyjąć rolę szpiega?

— Ubliża mnie hetman, chcę zostać jego okiem i uchem, agentem w jego sprawie.

Spojrzał z pogardą Tarnowski na Bellaroka, chciał jako podłemu drzwi wskazać, lecz zawiść do Kmity przytłumiła szlachetną zgrozę; pomyślał, iż byłoby użytecznie być zawiadomionym o knowaniach wojewody, aby w porę można było cios odwrócić. Przechadzał się zamyślony po komnacie, znać, że walczył z sobą; wstrętny mu był środek, lecz nie chciał wypuścić broni podanej mu na nieprzyjaciela. Nie zwracając oczów na hrabiego, dobył ze szkatuły kilka rulonów złota i wręczając Bellaroce rzekł:

— Masz, jedź do Wiśnicza, umieść się przy dworze wojewody; co usłyszysz, donoś: za ważniejsze odkrycie, otrzymasz większą nagrodę. Odpowiedzi otrzymywać nie będziesz. Srodze zajęty jestem. Żegnam—i niepodawszy ręki Włochowi, jakby zawstydzony swym postępkiem, wyszedł spiesznie z komnaty.

Bellaroka spostrzegł wzgardliwe spojrzenie hetmana, lecz go ono nie ubodło; mógł teraz działać, rozwijać intrygę, być czynnym i sowicie opłacanym: to mu wynadgradzało okazaną wzgardę.

Pojechawszy do Wiśnicza i przedstawiwszy się wojewodzie, wyznał Bellaroka otwarcie, iż bawił na dworze hetmana; lecz zrażony jego dumą, zawiścią na najzacniejszych mężów Rzeczypospolitej, skłóciwszy się z nim kilka razy, broniąc i odpierając oszczerstwa na nich rzucane, musiał opuścić zamek Tarnowski i szukać do czasu przytułku tam gdzie światło, zacność i cnota przebywa, gdzie może z wyobrażeniami i uczuciami właścicieli się godzić. Opowiadał o swych przygodach we Włoszech, o prześladowaniu rządu za publiczne opinie i jak nieszczęśliwie popadł pod despotyczniejszą jeszcze władzę hetmana. Chcąc w wolnym narodzie, żyć swobodnie, udaje się pod opiekę stróża narodowej wolności.

Szlachetny wojewoda przyjął go łaskawie i kazał umieścić w rzędzie dystyngowańszych dworzan. Tym sposobem widzimy go w Wiśniczu, jako zażyłego i spoufalonego rezydenta.

Nowi nauczyciele panny starościanki.

Od przybycia Klemensa Janickiego do Wiśnicza, p. Bellaroka zwykle wesoły, ożywiający całe towarzystwo, posmutniał, włoskie *lazzi* zamienił w sardoniczne żarty, chodził często zamyślony, widać że coś mu stanęło na przeszkodzie do osnutych zamiarów. Każdemu jednak nadskakiwał i pochlebiał. Wojewodzie podawał środki upokorzenia hetmana, starał się pozostać mu użytecznym, niezbędnym, aby pozyskać jego zaufanie. Staraniem jego było osłabić w umyśle wojewody, wziętość Maryckiego i Janickiego: pierwszego nazywał śmiesznym dziwakiem, który nic rozumnego uczynić nie może; drugiego wyśmiewał wiersze, odmawiając mu wszelkiego talentu, a obaj iż nie są warci dobrodziejstwa wojewody. Nie znładał dobrze Bellaroka charakteru wojewody, iż wszystko cierpliwie słuchał, lecz miał we wszystkiem wyrobione swe własne zdanie. Będąc znawcą serc ludzkich, umiał każdego według jego zasług ocenić i żadne złośliwe podszepty wpływu na jego przekonanie wywrzeć niemogły. Jak każdy samodzielny umysł, wierzył sobie i niepotrzebował zasięgać obcego zdania. Bellaroce się zdawało, że spadająca kropla po kropli i na kamieniu ślady pozostawia, ale pan Kmita nie był z kamienia, ale ze stali, potoki nawet bez śladu prześliznąć-by się mogły.

Chociaż hrabia Aloizy nigdy nie opuszczał zręczności być ciągle w towarzystwie pany Elżbiety, jednak od przybycia pana Klemensa podwoił swe usiłowania; został jakby jej cieniem, ciągle wlókł się za nią i nikomu do niej zbliżyć się nie pozwalał. Nic bardziej nie nuży kobietę, jak nadskakiwanie wstrętnej osoby; nic bardziej nie rani i nie oburza, jak ciskane pociski na osobę, którą całą duszą się uwielbia. Tych wszystkich przykrości doznawała panna Elżbieta od hrabiego Bellaroka. Kryjąc swoją miłość, zewnętrznemi oznakami nie chciała się zdradzić; z początku sta-

wała w obronie pana Klemensa, później wzgardliwie milczała, co pocieszało hrabiego i dawało mu otuchę, iż powoli strąci z piedestału poetę, którego żywa i wrażliwa wyobraźnia dziewicy, między półbogi umieściła. Namiętność go zaślepiała i cieszył się swoją rozumną taktyką, która go wiodła do zwycięztwa. Lecz przebiegłość kobiet, gdy je miłość podnieca silniejszą jest i skuteczniejszą nad wszystkie kombinacye mędrców, zawsze odporne środki wynajdzie i potarga siatkę intryg choćby z żelaza uplecioną.

Gdy pewnego dnia, po obiedzie, całe towarzystwo zebrało się w bawialnej komnacie i rozmawiano o różnych naukowych przedmiotach, a panna Orzelska siedziała milcząca, wojewoda ją zapytał:

— Czemu, starościanko, nie mieszasz się do naszej rozmowy?

— Bo nie śmiem — odrzekła. — Wy wszyscy uprawiacie nauki, macie zasługi w naukowym świecie, czyż zdanie moje może mieć jaką wagę?

— Starościanka zbyt jest skromna — rzekł Marycki.

— Kobiety mają swoje pomysły — dodał wojewoda — które czasami trafniejsze od wyuczonych sentencyi.

— Czuję, że wiele mi braknie — przerwała p. Elżbieta—lecz to nie moja wina; o ten brak, ciebie przed temi panami oskarżam, mój opiekunie.

— Jakto?—rzekł zdziwiony wojewoda — ja co chciałbym światło rozniecić w całym kraju, nad czem usilnie pracuję, miałbym być zaporą dla ciebie do nabytków umysłowych.

— Wytłomaczę się z mego zarzutu, mój opiekunie. Mamy u siebie dwóch doktorów: teologii i prawa, dwóch mężów uczonych, słucham ich z korzyścią, lecz to nie jest jeszcze systematyczny sposób nabycia nauki. Chcąc ją pozyskać, trzeba dołożyć pracy, a praca może być skuteczną, gdy ją pokieruje mądre przewodnictwo. Jeśli wojewodzina i ty zezwolisz, chciałabym prosić, aby pan Marycki wykładały mi choć godzinę dyalektykę Arystotelesa, a pan Janicki literaturę włoską. Po ich wykładach dopiero będę się mogła mieszać do waszych uczonych rozmów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z OBCEGO ŚWIATA.

Krainy złota w Chinach i Tonkinie.

Tak w niezmierzonych przestrzeniach Chin, jak i w Tonkinie znajdują się bogate pokłady złota; w tym ostatnim głównie w strefach górzystych, mało jeszcze znanych, gdzie jak wiadomo oprócz węgla, znajdują się pokłady żelaza, cyny, miedzi srebra i złota.

Główną cechą Chin, w których wszystko dzieje się inaczej niż w całym świecie, jest między innemi i ta, że tam odkrycie pokładów złota, nie bywa bynajmniej witane okrzykami bezmiernej radości, jak w Ameryce lub w Australii. Rząd chiński nie potrzebujący starać się o zwiększanie ludności, jak to miały na względzie Stany Zjednoczone, pragnące zaludnić kalifornijskie Eldorado, lub Australia chcąca przywabić kolonistów, nietylko nie ucieka się do przesadzonych reklam dziennikarskich, ale w nader dziwny sposób obchodzi się z awanturnikami, którzy wbrew jego rozkazom, przedostają się do krainy złota.

W Szantung znajdują się pokłady złotodajne, a w skałach kryją się drogie kamienie, a nawet dyamenty. Ale najbogatszą w drogie kruszce jest prowincya Yunnan. Znajdują się tu liczne płuczkarnie złota na płaszczyznach Kin-cha-Kiangu i innych strumieni. W dopływach rzeki Min, wpadającej do Yang-tse-Kiangu poszukiwacze złotych piasków natrafiają na małe źdźbła złota, ale tak nieliczne, że ze swych zbiorów wyżyć zaledwie zdołają.

Bardzo bogate pokłady złota kryją się w łonie gór wyspy Hajnan. Złoto przywożone z Korei, oczyszczane bywa ostatecznie w Mukden, stolicy trzech prowincyi Mandszu. Dostawiają go tam pod strażą zielonych sztandarów.

W tych i kilku jeszcze miejscowościach, praca nie opłaca się zbyt sowicie, ale odbywa się spokojnie, nie wywołując zamieszek i kłótni, jak to miewa miejsce w kopalniach złota w pobliżu Kirina, wielkiego miasta, leżącego na prawym brzegu Sungari. Tam górnicy dopuszczają się gwałtów i morderstw, uśmierzanych z wielkiem okrucieństwem przez władze chińskie. Pewien podróżnik zwiedzający Kirin, musiał przejść ulicę, po obu stronach której sterczały na pieńkach świeżo ścięte głowy.

Na wybrzeżach Sungari i jednego z jej dopływów, Lanlingu, osiedlili się koloniści chińscy i zajmują się uprawą ziemi. Okolica ta zamieszkana jest przez Tatarów, właścicieli niezmierzonych stepów, w których przebywają ogromne stada ich koni i bydła. W środku i na krańcach tych wielkich trawiastych płaszczyzn, spotyka się tu i owdzie pola uprawiane przez Chińczyków, pokryte bujnemi łanami sorga, prosa, tatarki, kukurydzy, grochu, sezamu i maku, z którego wyrabiają opium, tę straszną truciznę, która dotarła aż do krańców Tartaryi, aby tam rozszerzać swą zgubną działalność.

Z powodu osiedlenia się w tej prowincyi kupców i rolników chińskich, ustanowiono tam mandaryna dla sądzenia nieustających spraw i kłótni i wysłano oddział wojska pod dowództwem pomocnika jeneralnego gubernatora Czytsikaru, aby wykonywając wydane wyroki, ścinał głowy przestępców, których chciwość popycha do buntu.

Dwa lub trzy razy do roku, osady te bywają zniszczone i zrabowane przez Czerwone-Brody, rabusiów kryjących się w nieskończonych lasach Amuru i Usuri. Tam-to rozciągają się bogate pokłady srebra i złota, których dobywanie wzbronione jest przez cesarza. Daremny zakaz! pomijając go zbiegają się tu liczne gromady przestępców. Ale ciężkie czekają ich przejścia, gdyż niebawem, wyczerpawszy zapasy, uczuwają brak żywności, a tatarscy żołnierze nie dopuszczają jej sprowadzenia. Przyciśnięci głodem, poszukiwacze złota, chwytają za broń, rozwijają czerwony sztandar z napisem: „Zemścijmy się! niebo z nami na koniu i z bronią w ręku potrafimy zwyciężyć!” Ujrzawszy liczny ich zastęp, żołnierze uciekają w nieładzie, a ludność pozostaje na łasce rabusiów.

Zakaz urządzania kopalni, rozciąga się prawie do całego państwa i nietylko do pokładów złota, ale także srebra i merkuryuszu. Przestępcy karani są śmiercią. Za powód tego zakazu, rząd chiński podaje: iż nie chce odrywać rąk od uprawy roli, w kraju tak ludnym jak Państwo Niebieskie — w rzeczywistości jednak jest ono wynikiem obawy rozruchów.

Ilekroć rząd chiński wyda komu koncesyą eksploatowania pokładów złota, skoro tylko dowiedzą się, że tenże czerpie z niej znaczne korzyści, na posiadłość jego napadają zbrojne zgraje rabusiów, co wywołuje zamieszki i bitwy; otóż dla uniknięcia ich, zabroniono wyzyskiwać złotodajne pokłady. Podobne zatem prace wykonywają się ukradkowo, w największej tajemnicy; w Ning-Po, pewien prosty kulis dorobił się znacznego majątku, pracując tylko nocami.

Ksiądz Huc, który zwiedził całą Mongolią, podaje, że cała ta okolica posiada nader bogate pokłady srebra i złota, które częstokroć sprowadzają na nią wielkie klęski.

Wbrew surowym zakazom, mówi on, niekiedy zbierają się liczne zbrojne bandy chińskich rozbójników, dla poszukiwania złota w górach. Są między nimi ludzie, posiadający dar odkrywania jego pokładów; jak mówią, według ukształtowania gór i rosnących na nich roślin.

Jeden człowiek obdarzony tym nieszczęsnym darem, na rozległe okolice ściąga klęski i spustoszenie. Niebawem bowiem goni za nim tysiące ludzi bez czci i wiary i kraj staje się widownią największych zbrodni.

Gdy jedni zajmują się wykopywaniem złota, inni szerzą dokoła mord i zniszczenie; nie szanując własności ani życia, dopuszczają się zbrodni przechodzących pojęcie ludzkie i gwałty te nie ustają dopokąd nie pojawi się jakiś mandaryn odważny i dość potężny, aby je uśmierzyć.

Podobne klęski pustoszyły często krainę Gechekten, ale nic nie dorówna okropnościom jakie miały miejsce w roku 1841 w podległem Chinom królestwie Uniot. W owej epoce, pewien „odkrywacz złota” udał się w góry, a stwierdziwszy obecność drogocennego metalu, zawezwał do wspólnej pracy towarzyszy dobrej woli. Na głos jego zbiegli się ze wszech stron włóczęgi i bandyci, w liczbie około 12,000. Wstrętne te zgraje, mówi ks. Huc, opanowały kraj, przez całe dwa lata szerząc w nim rozboje i mordy. Cała prawie góra została skopaną; wydobyto tak wielką ilość złota, iż nagle spadło ono w Chinach do połowy wartości.

Daremnie mieszkańcy zanosili nieustanne skargi, mandarynowie, przedstawiciele rządu, nie chcieli mieszać się w te sprawy, nie widząc w tem żadnych dla siebie korzyści. Sam nawet król Uniotów, nie śmiał wystąpić przeciw zwiększającej się nieustannie liczbie rozbójników. Aż raz zdarzyło się, że żona tego króla udawała się do grobu swych przodków i aby się tam dostać, potrzebowała przebyć dolinę, w której zgromadzony był liczny zastęp górników. W jednej chwili otoczono rydwan, wyciągnięto ją z niego grubiańsko i zaledwie ceną wszystkich mianych na sobie kosztowności i klejnotów, zdołała okupić możność udania się w dalszą drogę.

„Za powrotem do pałacu, mówi ks. Huc, królowa głośno objawiła swoje oburzenie, wyrzucając mężowi jego tchórzostwo.

— Hańba tobie — wołała — aby w twojem królestwie, własna żona twoja nie mogła podróżować bezpiecznie.

Dotknięty jej wyrzutami, król zebrał wojsko i wyruszył przeciw kopaczom. Silni pozycyą i liczbą, opierali się długo, ale w końcu zgniotła ich jazda tatarska, straszną rzeź sprawiwszy w ich szeregach. Znaczna liczba szukała schronienia w głębi kopalni, co spostrzegłszy Tatarzy, zamknęli wejścia wielkiemi kamieniami. Przez kilka

dni słychać było jęki uwięzionych, ale nie miano nad niemi litości i wszyscy wyginęli. Żywcem pojmanych, odstawiono do króla, który kazał ich rozpuścić... oślepiwszy."

Z tego co się dzieje w Chinach, łatwo wystawić sobie do czego przyszłoby w Tonkinie, gdyby dokonywana z pomocą kapitałów europejskich eksploatacya kopalni, w górzystej okolicy między Yunnan a Kuangsi, okazała się zyskowną. Chiny nasłałyby tam wszystkich swoich złoczyńców i żebraków, a liczba ich niezmierna.

W wielkich miastach Chin znajduje się przerażająca liość włóczęgów i nędzarzy. Pekin posiada swój „trybunał cudów" i „króla żebraków" uznanego przez rząd, który zarządza całą armią obdartusów i żebraków, podzielonych na bataliony.

Nadto, zgodnie ze starodawną polityką chińską, wyznaczono pas górniczy między Państwem Środkowem a Tonkinem; marchia ta zamieszkała jest przez plemiona wpół-dzikie, których niepodległość jest szanowaną, z warunkiem: żeby nie osuszali bagnisk, nie karczowali lasów i nie przeprowadzali dróg przez góry. Dzicy ci rzuciliby się niebawem na grunta zajęte przez górników, nie dla przyjęcia współudziału w pracy, ale zwyczajem dalekiego Wschodu, dla rabunku i rozboju. Tak więc zdobycie Tonkinu, na długi przeciąg czasu niemałe Francuzom nastręczy jeszcze trudności.

+

Z pod naszej strzechy.

Z ciepłem wiosennem i motylami, bujającemi w alejach Ujazdowskiej i Jerozolimskiej, z wielką pociechą wróbli a szkodą drzew przydrożnych, przybyła wreszcie wiadomość z Krakowa, iż w sprawie pomnika dla Mickiewicza, postanowiono ostatecznie: nagrody przyznane przez *jury* wypłacić, żadnego z projektów nagrodzonych nie wykonać, członkom *jury* podziękować za trudy poniesione i wreszcie uprosić p. Matejkę, aby przewodnicząc delegacyi, przy jej pomocy wygotował nowy projekt i poddał go zatwierdzeniu całego komitetu.

W tem wielce dyplomatycznem zakończeniu sprawy, najlepiej wyszedł pan Dykas, bo kopiując pomnik dla Bethowena w Wiedniu, pomysłu prof. Zumbuscha, za rzecz nie swoją dostał nagrodę.

Niemniejszą, choć tylko moralną, odnieśli także korzyść członkowie *jury*, bo otrzymali urzędowe uznanie spełnionej przez nich misyi, zapewne za to, iż nie wiedzieli, że projekt Dykasa nie jest oryginalny, jak tego warunki konkursu wymagały. Ale stało się! niechże wszystko pójdzie w zapomnienie i niechże będzie nauką na przyszłość, jak w podobnych razach rządzić się i sądzić.

W każdym razie zawód spotkał nas wszystkich dość niemiły, zwłaszcza w obec cudzoziemca prof. Zumbuscha, aż z Wiednia na posiedzenia *jury* sprowadzonego. Co on o nas pomyślał, gdy kopią swej pracy, usłyszał sądzoną, chwaloną i wreszcie pierwszą nagrodą uwieńczoną?

Na szczęście w Paryżu ziomek nasz Julian Ochorowicz, urządzeniem Termomikrofonu, który jak się w „Roli" wyrażono, nabawił Edissona zielonej żółtaczki, stanowi pewną równowagę w ubytku dobrej o nas opinii wszechświatowej. Wszystkie pisma w Paryżu głoszą ważność wielką jego prac naukowych, rozmowę z nim prezydenta Grewego, jego pochwały, uznanie i niezmierne zajęcie się wynalazkiem.

Donoszą przytem, że jakaś spółka z kapitałem pięciomilionowym pragnie wejść z nim w układ z zapewnieniem wielkich korzyści, miliony także w zysku mających przynieść.

Daj Boże, aby się to spełniło, aby sąsiedzi nasi nie przyznali mu niemieckiego pochodzenia, a dalsi nie pragnęli dowieść, iż wynalazek naszego ziomka znany był jeszcze przed Adamem, nim w raju został osadzony.

Jeżeli bez tych przeszkód, bardzo prawdopodobnych p. Ochorowicz zatryumfuje, będzie to fenomen niezmiernej rzadkości, jak ośmioletni chłopczyk Józio H. mający być podobno arcy biegłym pianistą i zamiłowanym kompozytorem, o czem niedawno pisma nasze doniosły.

Panu Ochorowiczowi zatem przypada w każdym razie uznanie jego pracy naukowej, uwieńczonej pochwałą świata uczonego... ale niestety! *uznanie* należy się tylko takim jak *jury* w kwestyi pomnika Mickiewicza.

Warszawa ma mnóstwo dobrych chęci, ale i czynów podobnych niezmiernie wiele, choć mało woli do wykonania. Wprawdzie uchwalone towarzystwa: gimnastyczne i drugie wsparcia zubożałych literatów, przepadły bez śladu, mimo wszelkiej gotowości do odpowiedniej działalności, ale za to mamy towarzystwo opieki nad biednemi matkami i biedniejszemi ich jeszcze dziećmi, które już odbywa posiedzenia w mieszkaniu pani Ewy z hr. Łubieńskich Popielowej.

Mamy także z funduszów złożonych przez ks. Lubomirskiego i hr. Zdzisława Zamoyskiego, szwalnią ubogich dziewcząt, w której obecnie uczy się ich 220, oprócz szycia, prania, prasowania i gotowania. Napływ dzieci do tej instytucyi jest tak znaczny, że gdyby starczyło miejsca, toby mogła dać zajęcie dla przeszło 500 młodych pracownic. Zakładem tym opiekuje się stale 15 pań, składających co miesiąc pewną kwotę na potrzeby instytucyi.

Powstał także projekt urządzenia łaźni dla ubogich, ale przeszkody jeszcze nie usunięto do urzeczywistnienia tej pięknej myśli. A z przeszkodami temi ciężka sprawa, co jedną usuniesz, dwie nowych wyrasta. Chodzą również pogłoski, iż wkrótce w Warszawie mają wychodzić książeczki dla ludu, z oznaczeniem ceny *pięciu groszy* za egzemplarz. Celem tego wydawnictwa będzie upowszechnianie między ludem wiadomości z dziedziny rolnictwa, gospodarstwa domowego, hodowli inwentarza i t. d.

Wydawcą ma być jeden z zamożniejszych rolników.

Śliczna to myśl, godna ludzi co pojmują, że tak jak szlachectwo obowiązuje, tak samo i mienie, czy dziedziczne czy dorobione, obowiązuje do ofiar, dobro ogólne mających na celu.

Niedawno temu wyszedł z druku pierwszy zeszyt pisma illustrowanego, pod tytułem „Fortuna", który starannie ułożony i ozdobiony dobremi ilustracyami, świadczy dobrze o staranności redakcyi. Ma to być miesięcznik w rodzaju przeglądów francuzkich i angielskich, podających swym czytelnikom wiadomości o ruchu umysłowym i artystycznym naszej społeczności. Zapowiedział się dobrze w pierwszym występie, jest więc nadzieja, że pójdzie i dalej raz obraną drogą, byle zbyt nie zagalopował się... w radykalizmie.

Podobno każdy człowiek ma swoje słabostki, które zbyt na samopas puszczone, często w nieznośną popadają przesadę.

Niektórzy ubiegający się za wiadomostkami, jak myśliwy w kniei za zwierzyną, czują szczególną odrazę do wszystkich, którym muszą płacić. Nienawidzą też przede wszystkiem właścicieli kamienic, przezywając ich pogardliwie *kamienicznikami*, bo są tak nieuczciwi, że za darmo mieszkać nie pozwalają a niewypłacalnych z pomieszkań rugują.

Nienawidzą dorożkarzy, przezywając ich *władzcami bicza*, bo wozić nie chcą darmo i gwałtem dopominają się zapłaty. Nienawidzą stróży, zowiąc ich *dzierżycielami miotły*, bo przy otwarciu furtki po północy, bez ofiary dziesiątki, mruczą pod nosem z niezadowoleniem. Nienawidzą piekarzy, rzeźników i dostawców na targi spożywczych produktów, bo na nieszczęście bez zapłaty nawet pół kartofelka nikt dać nie chce. Cieszą się wreszcie zacierając ręce z radością, gdy mieszkania pustkami stojąc spadają w cenie, gdy dorożkarze narzekają na brak zarobku, gdy stróże i piątki z pokorą przyjmują, niepomni, że zubożenie jednych, pociąga za sobą zubożenie wszystkich, jako związanych jednym węzłem solidarności niepodobnym do rozplątania.

Obecnie, rozglądając się na wsze strony świata, aby upatrzyć nową pastwę dla swej niechęci, rzucili się na wyjeżdżających na letnie mieszkania w pobliżu Warszawy i nazwali ich wzgardliwie *powietrznikami*, zapewne z zazdrości, że gdy oni żyją tylko nadzieją dobrego kiedyś w przyszłości powietrza, gdy kanalizacyą wreszcie Warszawa zostanie uszczęśliwioną, owi *powietrznicy* już dziś się niemi karmią, dlatego jedynie, że mogą ponieść kilkadziesiąt rubli wydatku bez ruiny swoich dochodów.

Porzucając te socyalistyczne wybryczki pragnących używania bez pracy i starania, to jeżeli jest prawdą co pisma brukowe doniosły niezawsze z nią zbratane, to Warszawianki przestaną zwać się płcią słabą a zmienią się na silną, niemal herkulesową.

Kilka dni bowiem temu, na ulicy Brackiej, jedna z przechodzących pań spostrzegłszy, że przy rozbrykaniu się konia, woźnica spadł z wozu pod koła, śmiało przyskoczyła do rozhukanego zwierzęcia i wszystkich sił dobywszy, cuglami osadziła go na miejscu. Woźnica ocalony od przejechania, nie wiedział jak ma dziękować swojej dzielnej obronicielce.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

Pogrzeb ś. p. biskupa Wnorowskiego. Kronika nasza krajowa zaznaczyła na swoich kartach ciężką dla Kościoła i społeczeństwa stratę.

W Lublinie zmarł biskup dyecezyi ś. p. ksiądz Kazimierz Józef Jan Wnorowski, mąż zasługi i cnoty wielkiej, człowiek nieskazitelnego charakteru, a przytem świątobliwy, skromny, cichy, wzór prawdziwego kapłana chrześciańskiego. Wyniesiony do godności biskupiej w roku 1883, nie długo przewodniczył powierzonej mu dyecezyi.

Oddając ostatnią posługę niedawno zmarłej matce swej, ś. p. ks. Biskup zaziębił się na cmentarzu, z czego wywiązało się groźne zapalenie płuc i pomimo wy-

siłków najbieglejszych lekarzy, przecięło pasmo tego zacnego, cnót chrześciańskich pełnego żywota.

Wiadomość o śmierci ukochanego Pasterza, wywarła przygnębiające wrażenie. Do zwłok wystawionych w kaplicy pałacu biskupiego, cisnęły się tysiące ludu, ze łzami szczerego żalu w oczach. Nawet żydzi wyprawili w bóżnicy lubelskiej nabożeństwo żałobne za spokój duszy biskupa.

W niedzielę (26 b. m.) J. E. ks. Wincenty Popiel, Arcybiskup warszawski, w asystencyi ks. Kulińskiego biskupa kieleckiego, przy udziale przeszło 200 księży i kilkunastotysięcznych tłumów ludu, odprowadził zwłoki z kaplicy pałacu do pięknej katedry lubelskiej.

Tu ciało, stosownie do ostatniej woli zmarłego, zamknięte w prostej trumnie dębowej, spoczęło na wysokim katafalku, obstawionym kwiatami i światłem.

Duchowieństwo odprawiło wielkie nieszpory żałobne, a amatorowie na chórze wraz z orkiestrą, pod dyrekcyą pana Alfonsa Czarneckiego, wykonali na głosy wzniosłe „Salve Regina”.

Z kazalnicy przemówił kanonik kolegiaty zamojskiej i proboszcz parafii śś. Piotra i Pawła ks. Bołdak i w wymownych słowach skreślił obraz życia i cnót zmarłego dostojnika Kościoła.

Nazajutrz w poniedziałek, od godziny 6-ej z rana rozpoczęły się przy wszystkich ołtarzach Msze św., a po odśpiewaniu wigilii J. E. ks. arcybiskup Popiel, w asystencyi duchowieństwa odprawił mszę wielką, poczem trumna spoczęła na barkach ludzkich i żałobny pochód ruszył ku cmentarzowi.

Trzydzieści wieńców niesiono przed trumną, liczne deputacye i masa ludu posuwały się przez ulice powoli, przy wzruszających dźwiękach psalmów. Kondukt prowadził arcypasterz J. E. ks. Popiel, obok niego postępowali J. E. biskupi kielecki ks. Kuliński i sandomierski ks. Sotkiewicz.

Miasto miało cechę niezwykle uroczystą i żałobną. Ustał wszelki ruch, pozamykano sklepy, a od placu katedralnego, przez całe Krakowskie Przedmieście, aż do samych wrót oddległego cmentarza, płynęła ruchoma fala ludzi wszelkich wyznań i stanów.

Trzech mówców: ks. kanonik Jaczewski, ks. Mleczek i d-r Janiczewski, gorącemi słowy podnosili zasługi zmarłego pasterza, a wszystkie dzwony starożytnego kościoła jęczały smutnie, łącząc swe tony w jeden olbrzymi akord żałobny.

Tak oddano ziemi śmiertelne szczątki najzacniejszego z ludzi, świeży grób zarzucono wieńcami i skropiono go obfitemi łzami gorącego żalu, na który ś. p. ksiądz Wnorowski całem swojem życiem zarabiał.

Szczęśliwy zaprawdę, kto tak, pięknie żyć, pracować i umierać umiał; szczęśliwa ziemia, która się takimi synami może jeszcze poszczycić!!

*** **Udział kobiet** w tegorocznej wystawie przemysłowo-rolniczej w Warszawie zapowiada się, o ile można sądzić z nadchodzących deklaracyi, dość licznie. Działy gospodarstwa nabiałowego, trzody chlewnej, hodowli drobiu, będą nader ciekawe. Słyszeliśmy też, że i pszczolarki wykształcone w Warszawskiem muzeum pszczolnicznem wystąpią także z owocami swej pracy.

Dobrze, dobrze, piękne panie, dowódźcie na każdym kroku, przekonywajcie faktami, że umiecie pracować, że nie tracicie czasu napróżno — a każde ręce złożą się chętnie do oklasku na cześć cichej waszej zasługi.

*** **Nowa Instytucya.** Filantropia warszawska, niewyczerpana coprawda, wchodzi na coraz lepsze, coraz praktyczniejsze tory.

W roku zeszłym kolonie dla dzieci wykazały tak pomyślne rezultaty, tylu biednym, wynędzniałym, wśród murów miejskich dziatkom, powróciły na twarz rumieńce, w tyle zmęczonych, zasuszonych piersi tchnęły prądem świeżego wiejskiego powietrza, że dziś przekonano się już dowodnie, że dać komu zdrowie, jest większem dobrodziejstwem aniżeli dać pieniądze.

Obecnie przybywa nam druga, daleko jeszcze potrzebna instytucya filantropijna, mianowicie Towarzystwo pomocy dla biednych matek.

Grono zacnych dam i czujących potrzeby ubogiej ludności osób, zjednoczyło siły swe i fundusze w szlachetnym celu niesienia pomocy nieszczęśliwym matkom i tym biednym, upośledzonym dzieciom bez nazwiska, których tak znaczna ilość mrze corocznie w szpitalu Dzieciątka Jezus, lub też zaledwie na świat przyszedszy, ginie w sposób fatalny.

Potrzeba założenia instytucyi, którąby chociaż w pewnej mierze zapobiegała tej okropnej pladze społecznej, dawała się czuć już oddawna i była przedmiotem zajęcia wielu, gorąco ludzkość kochających umysłów.

Dziś z dziedziny projektów instytucya wchodzi w sferę czynu, zbyt ważną jest ona, byśmy ją mieli zbywać przelotną kronikarską notatką; postaramy się też z zasadami jej głównemi zapoznać czytelniczki nasze w artykule oddzielnym.

Tymczasem zaznaczamy fakt z życzeniem, byśmy coraz więcej podobne objawy dobrze zrozumianego miłosierdzia publicznego mogli na tych kartkach notować.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Ś. p. Stanisław Koźmian**, literat i uczony, Prezes Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, znakomity tłomacz dzieł dramatycznych Szekspira, zmarł w Poznaniu.

*** **Ekscentryczna tualeta.** Na wyścigach w Langchamps odbytych w dniu 19 b. m. ukazała się jedna z aktorek paryzkich w nader oryginalnej tualecie.

Zamiast kapelusza miała na głowie małe siodełko, z bronzowego aksamitu i dwa skórzane rzemienie, zakończone miniaturowemi strzemionami, zastępowały miejsce wstążek. We włosy, które (przepraszam za porównanie) jak rozpuszczona grzywa końska, spadały na ramiona, były powplatane uzdy stalowe. Spódniczka atłasowa wiśniowego koloru, ozdobiona haftowanemi podkowami i batami, kurtka dżokejska tegoż koloru i pas różnobarwny skórzany, spięty na klamrę mającą kształt podkowy z gwoździami stalowemi, dopełniały całości.

Pomimo niezaprzeczonej oryginalności tego kostyumu, trudno przypuszczać, aby się znalazły damy, któreby zechciały *siodłać* swe głowy.

*** **Przeciw kapeluszom damskim.** Publiczność uczęszczająca do teatrów, a zwłaszcza do krzeseł, skarży się, że szerokie ronda modnych obecnie kapeluszy damskich, zasłaniają zupełnie scenę dalszym widzom.

Ta okoliczność stała się powodem do urządzenia formalnej krucyaty przeciwko kapeluszom w Buda Peszcie. Dyrekcya opery tamtejszej, wydała rozporządzenie, aby damy znajdujące się w sali teatralnej zdejmowały kapelusze.

Rozporządzenie to niepodobało się pięknym węgierkom, zwłaszcza z początku, a miejscowe dzienniki notują nawet kilka komicznych zajść z tego powodu wynikłych; obecnie wszakże panie poddały się słusznym co prawda wymaganiom i słuchają opery z odkrytemi głowami, nie przeszkadzając zwykłym śmiertelnikom spoglądać na scenę, na którą patrzeć ma prawo każdy, kto za bilet wejścia zapłacił.

Utrzymują złośliwi, że podobny zamach na kapelusze, ma być także wykonany w Warszawie.

*** **Królowa jako krytyk.** Włoski dziennik „Gazetta di Parma” donosi, że królowa włoska Małgorzata, już od lat kilku oddaje się pracom literackim. Mianowicie, pisze ona recenzye wszystkich wybitniejszych utworów dramatycznych i muzycznych, jakie pojawiają się na scenach włoskich.

Codzień rano, piękna królowa poświęca tej pracy kilka godzin i po ukończeniu recenzyi, oddaje takowe do przejrzenia Minhetti'emu, lub Bonghi'emu, jeśli zaś recenzya traktuje o jakiem dziele muzycznem, w takim razie przegląda ją który z wybitniejszych artystów teatru dworskiego. W razie, gdy praca królowej znajdzie ze strony tych panów uznanie — to królowa własnoręcznie przepisuje takową w oddzielnej książce.

Królowa Małgorzata nie jest jedyną ukoronowaną literatką, gdyż jak wiadomo, królowa Anglii, cesarzowa Indyj Wiktorya, lubi się także piórem zabawiać, a młoda królowa Rumunii Elżbieta, oddaje się piśmiennictwu z całym zapałem i energią.

*** **Olbrzymi dyament.** Przed kolkoma miesiącami, w południowej Afryce, znaleziony został brylant soliter, ważący 475 karatów.

W obecnej chwili, fenomenalny ten okaz znajduje się już w Amsterdamie, dokąd przysłano go do oszlifowania w zakładzie jubilera I. Metza, słynnego specyalisty od drogich kamieni. Metz wszystkich pracowników zajętych przy szlifowaniu tego brylantu, umieścił w zupełnie oddzielnym lokalu, gdzie są pilnie strzeżeni.

Wartość brylantu jeszcze do chwili obecnej oznaczoną nie została.

Dotychczas za największy brylant na świecie uchodził tak zwany „Wielki Mogoł” znajdujący się w skarbcu szacha perskiego i ważący 280 karatów.

Francuzki brylant „Regent” waży 136⅞ karatów, na oszlifowanie tego kamienia potrzeba było dwa lata czasu — i prosku brylantowego za 20,000 franków.

Ciekawa rzecz jak długo trwać będzie szlifowanie tego świeżo znalezionego dyamentu.

Zapewne kilka lat przynajmniej.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Witkowskiej w Dorohusku. Tom powieści Wilczyńskiego z przesyłką pocztową kosztuje kop. 70, przysłano zaś kop. 63, należy się nam zatem jeszcze nie kop. 2½, lecz kop. 7.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Апрѣля 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.

Opis do N-ru 17.

(*Dokończenie*).

N. 36. Chusteczka żabotowa.

Z końcami zachodzącemi na bok i przypiętemi na staniku, poniżej wcięcia stanu, uszyta jest z różowej jedwabnej krepy i z koronki 6 cent. szerokiej. Stojący kołnierzyk z tyłu zapinany, 4 cent. szeroki, podłożony sztywnym muślinem, pokryty jest krepą zaplisowaną w drobne fałdki i oszyty z brzegów świecącemi perełkami. Końce chusteczkowe po 65 cent. długie, 30 cent. szerokie, oszyte są z jednej strony szeroką, z drugiej wązką koronką. Ażeby fałdowanie na piersiach układało się gładko, podłożone jest od spodu kawałkiem muślinu, 36 cent. długim, w środku 5, w końcach 2 i pół cent. szerokim, do którego przyczepia się krepę. Poniżej podłożenia końce zbierają się wązko w fałdy i spinają klamerką, a 16 cent. dalej kokardą z wstążki ottoman z aksamitnym brzeżkiem.

N. 37, 29 i 12. Ubranie wieczorowe.

Odrobione z wirginii gładkiej białej i w rzucik różowy jedwabny i z materyi surah, blado różowej. Spódnica przykryta 80 cent. szerokiem plisowaniem z białej wirginii; bryty draperyi wkazane na ryc. 29 są *a* i *c* z deseniowej, a bryt *b* jest z materyi surah. W draperyi przedniej bryt *a* lewym brzegiem wpuszczony jest w szew sukni, łączący przód z brytem bocznym, górny brzeg sfałdowany od 16 do 185, wszyty jest w pasek. Przez podpięcie dane podług krzyżyków i kropek przez całą szerokość bryta, odznaczają się w górze bufy à paniers, widoczne na ryc. 37; reszta bryta opuszcza się wolno na suknię, a górny brzeg założony jest w pukiel od 185 do 210; brzeg boczny prawy ściśle sfałdowany. Bryt *b* złożony gwiazdką do gwiazdki, przy 54 zaczyna się poniżej fałdować, dalej zaszywa się podług dwukropków w dwa pukle widoczne na ryc. 12, upina na tylnym brycie sukni, fałduje ściśle przy 274, przyszywa poniżej paska a przy 294 tworzy krótkie paniers. Dodany z wierzchu bryt c, który na tylnym brycie układa się krzyżykiem do krzyżyka, jest poniżej krzyżyka i w górze ściśle sfałdowany i spada na draperyę podług ryc. 12. Stanik wycięty w ząb, zapięty na kryte haftki, przybrany jest chusteczkowo barbką koronkową 20 cent. szeroką. Kokardy okrągłe i naszyjnik z wstążki 3 i pół cent. szerokiej.

N. 38, 31 i 13. Ubranie wizytowe.

Draperya przednia (część *a* na ryc. 31) jednym bocznym sfałdowanym brzegiem przyszywa się na sukni przy szwie łączącym tylny bryt z bocznym; górny brzeg podług znaków układa się w ścisłe fałdy od 14 do 84, schodzące się do środka w miejscu oznaczonem liczbą 50, dalej zaś gładko wszywa się w pasek. Z drugiego boku draperya zachodzi pod kontrafałdę, przepinaną z wierzchu kokardami z wstążki ottoman aksamitnej, 6 cent. szerokiej. Tylne upięcie z dwóch brytów *b* złączonych szwem, fałduje się w górze od 1 do 63 i wszywa w pasek od sukni, brzeg gładki do 90 przyszywa się z boków rozporka. Boczne brzegi trzeba podpiąć w pukle, składając gwiazdką do gwiazdki, poczem materyał w środku z tyłu przy liczbie 60 fałduje poprzecznie i podpina w bufę. Na ryc. 38 spódnica z gładkiego materyału układana w kontrafałdy, dopełniona upięciem z materyału w rzucik ponsowy sznelowy. Stanik z tegoż materyału, z przodu ścięty w podwójny bawet, ma dodany żabot koronkowy, przykrywający zapięcie, ułożony z kawałka tiulu koronkowego 36 cent. szerokiego, oszytego koronką 8 cent. szeroką. Podstawę żabotu stanowi kawałek sztywnego tiulu, 40 cent. długi, w górze 5, w środku 13, u dołu 3 cent. szeroki. Kołnierzyk stojący i mankiety aksamitne. Ryc. 13 przedstawia taką suknię z deseniowego meteryału.

Opis do N-ru 18.

N. 1—2. Ubrania domowe i spacerowe.

N. 1 i 25, oraz ryc. 33 w N-rze 19. Suknia ze stanikiem z baskiną. Forma na dodatku z krojami N. IX fig. 48—56.

Model sukni przedstawionej z przodu i z tyłu na ryc. 1 i 25, odrobiony był z ciemno szafirowego „Floconné“ z koronki wełnianej i z aksamitu i materyi w kolorze bordo. Formę zapinanego z boku stanika z baskiną, dajemy na fig. 48—55; plastron z jedwabnej materyi pokryty koronką, odrobiony podług fig. 48—49, okłada się u dołu szeroko aksamitem. Przody stanika ozdobione ranwersami, przypinają się na duże guziki, do dolnej połowy plastronu. Wewnętrzne urządzenie spódnicy, w której górną część z tyłu nawleczone są dość gęsto stalki i dodana jest poduszeczka włósienna, przedstawia ryc. 33 w N-rze 19. Chcąc, żeby spódnica [illegible] trzeba wszyć u dołu pomiędzy listwę i zwierzchni materyał, falbankę 12 cent. szeroką, ułożoną w kontrafałdy, na którą spuszczony jest z wierzchu 72 cent. szeroki wolant z koronki wełnianej. Mały model kroju i miary draperyi dajemy na fig. 56; długą część przednią przykrawa się podług litery *a* do dłuższego bocznego brzegu prostego, dodaje się szeroki ranwers aksamitny; układ fałd wskazują krzyżyki i kropki. Ściśle sfałdowane skośne, boczne brzegi podchodzą pod draperyę tylną *b*, składającą się z dwóch prostych brytów aksamitnych, podszytych materyą, w górze od 1 do 30 zmarszczonych i w pasek wszytych, a od 30—47, w sposób wskazany na r. 25 przypiętych na haftkę do stanika, pod dużym guzikiem z pasmanteryi.

N. 2 i 26. Ubranie z vêtement. Forma na dodatku z krojami N. I, fig. 1—13.

Na modelu vêtement odrobione było z wełnianego ciemno-szafirowego materyału i z jedwabnego „ottoman“ a spódnica w fałdy złożona z materyału w paski poprzeczne czerwone i szafirowe. Na fig. 13 dajemy mały model i miary przedniej draperyi, której prawa strona oznaczona jest literą *a*, a lewa literą *b*. Obiedwie części trzeba z prostych, przednich brzegów założyć wzdłuż w dwie głębokie, zaprasowane, plisowane fałdy, w górnym brzegu zaszyć zaszewki, nakoniec w części *a* resztę górnego brzegu i skośnie ścięty brzeg boczny sfałdować podług znaków i wszyć w pasek. Draperyą *b* u dołu podług zacieniowania podszyć od spodu materyą, i od 94 do 130 zmarszczyć, z nagłówkiem do 9 cent. szerokości i na boczku od pleców vêtement przypiąć na haftki. Przody i boczki stanika krają się tylko do wcięcia w pasie i dopełniają baskiną fig. 4, a między szew, który je łączy, wpuszcza się od Q do R, patki do kieszeni. Na fig. 2 dajemy formę podszewki pod przody, do której plastron pokryty materyałem w paski przyszywa się z jednej strony, a z drugiej przypina na haftki; do luźno wystających brzegów zwierzchniego materyału przyszywa się od punktu do punktu ranwers fig. 11. Użycie ottomanu jedwabnego na wykłady i przyozdobienie widoczne jest na ryc. 2 i 26. Guziki szmuklerskie są dwojakiej wielkości. Berecik słomkowy ubrany bufowanym aksamitem i piórami ze skrzydeł orła.

N. 8—9. Kapelusze wiosenne.

N. 8. Kapotka z główką z materyi a rondkiem słomkowem.

Na modelu do główki ze sztywnego tiulu pokrytej repsem jedwabnym, przyszyte było rondo 6 cent. szerokie, plecione z grubej słomki oliwkowego koloru; z tyłu rondo jest przecięte i jedną częścią przy drugiej ułożone w ten sposób, że końce zachodzą na pokrycie główki, które układa się z kawałka repsu, mającego 45 cent. długości, 50 szerokości, z przodu i z boków na 10 cent. od brzega zmarszczonego i w fałdy ułożonego. Następnie część fałdowana z przodu, zachodzi w środku na rondko, a 10 cent. szeroka podwójna kontrafałda z tyłu wpada pomiędzy przecięcie rondka; z boków materya zachodzi na rondo. Bukowe, złocone gałązki z nasieniem, trawa sznelowa, liście atłasowe i długie korzonki przypięte są z boku, wraz z ptaszkiem. W środkowem wygięciu i na wygięciach ronda z przodu, przypięta jest kokarda z wstążki aksamitnej 2 i pół cent. szerokiej, trawno-zielonej wstążki, z której dane są także 85 cent. długie wstążki do [illegible]



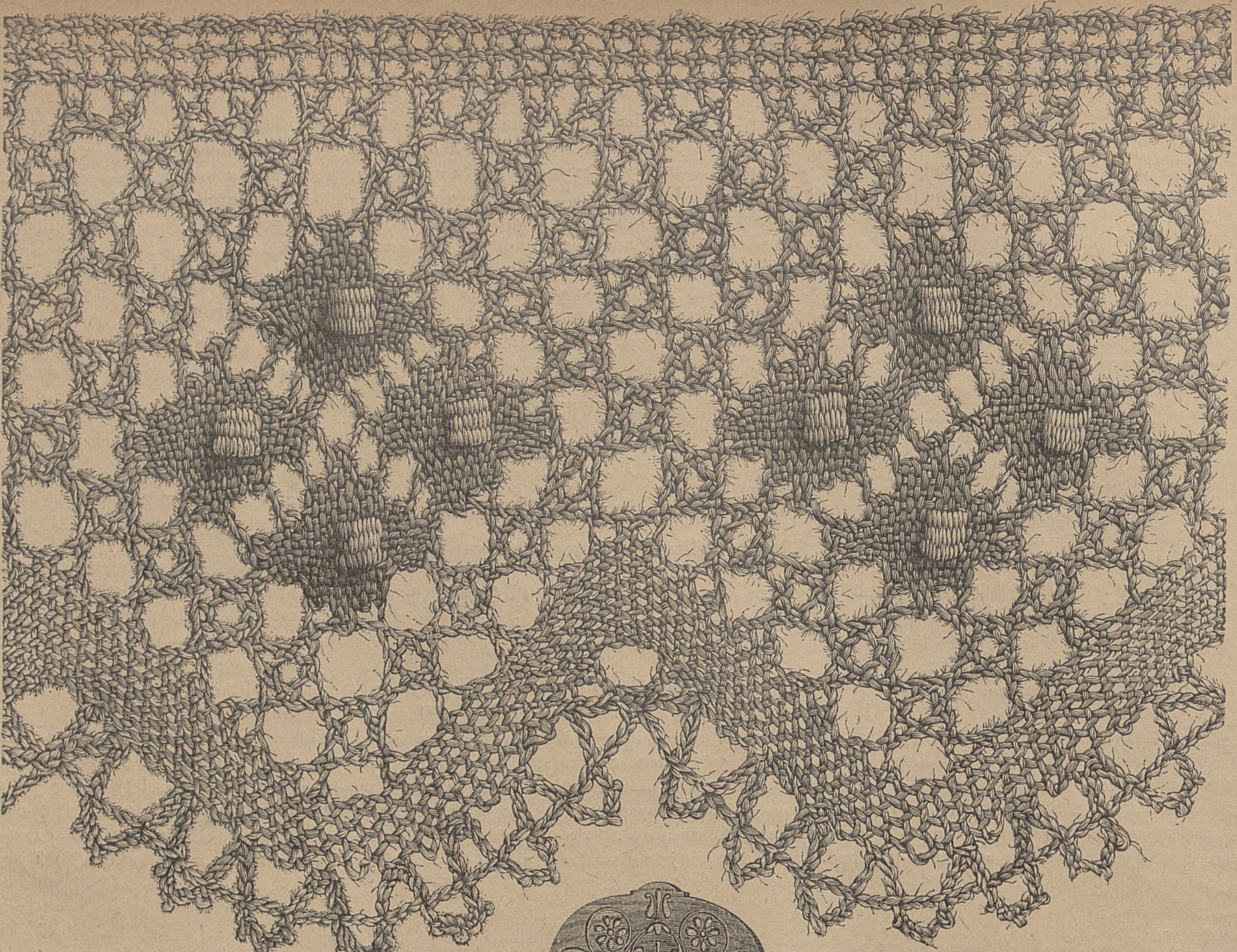
N. 1—2. Ubrania domowe i spacerowe.

N. 1. Suknia ze stanikiem z baskininą, zobaczyć plecy na ryc. 25, a wewnętrzne urządzenie spódnicy na ryc. 33 w N-rze 19. Krój na dodatku z formami N. IX, fig. 48—56.

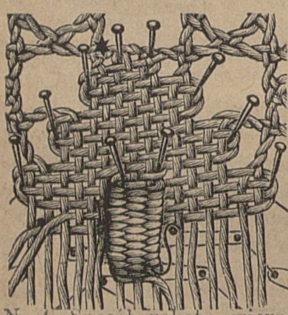
N. 2. Ubranie z vêtement; przód na ryc. 26. Krój na dodatku z formami N. I, fig. 1—13.

N. 9. Kapelusz okrągły słomkowy.

Zwężona w górze główka bronzowego, słomkowego kapelusza, z przodu 11, z tyłu 13 cent. wysoka, ma tylko z przodu rondko 6 cent. szerokie, pokryte skośnym, ciemno zielonym aksamitem, z tyłu główka opasana jest kawałkiem aksamitu, 4 i pół cent. szerokim. Czarnym tiulem podszyta, 4 cent. szeroka, słomkowa torsadka, przerabiana złotem, opasana jest na złączeniu ronda z główką i zachodzi z boku na 6 cent. w górę na główkę. Bronzowa wstążka „frisé“ składana w pukle i końce 10, 13 i 15 cent. szerokie, zdobi przód kapelusza, upięta w sposób wskazany na ryc. 20 w N-rze 19 a z tyłu spuszczona jest na końce 75 cent. długie, które można wiązać z przodu.



N. 3. Koronka wełniana robiona na klockach. Klocków 69. Wzór roboty zwierzchnich muszek na próbce N. 4. Deseń ze wskazaniem nawijania nitek, na dodatku z krojami fig. 99.



N. 4. Sposób roboty zwierzchnich muszek na koronce ryc. 3.

N. 10 i ryc. 20 w N. 19. Okrycie pelerynowe. Krój N. V, fig. 31—33.

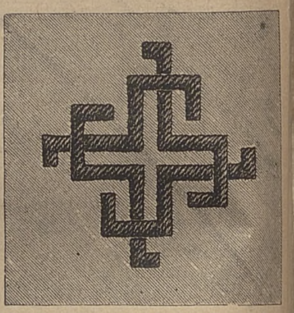
Okrycie przedstawione z tyłu na ryc. 10, odrobione było z ciemno granatowego, białemi nitkami przerabianego materyału, ogarnirowane koronką wełnianą, 6 i 8 cent. szeroką i ozdobione kokardami z wstążki atłasowej, 6 cent. szerokiej. Model do ryc. 20 w N-rze 19, był z sukienka piaskowego, cały podszyty materyą jedwabną. Najpierw zeszywa się z sobą części pleców, a następnie łączy je od góry aż do 4 z częściami pelerynowemi, w których na ramionach daje się zaszewki. Deseń haftowany w maszynie ściegiem tamburkowym, na zeszytem okryciu a brzegi trzeba odziergać; nakoniec przyczepia się nieznacznemi ściegami, oddzielnie zeszytą podszewkę. Baskinę przykrojoną razem z plecami, układa się w luźno spuszczone, pod spód zachodzące fałdy i przyszywa do plecków, a boczne brzegi w lekkie bufy podpięte przyczepia się od 4-ki na pelerynie. Przody przykrojone oddzielnie formą paletocikową z zaszewkami podszywa się podszewką i przyszywa od gwiazdki do dwukropka i od krzyżyka do kropki, do podszewki pod peleryną, a z przodu zapina się na haftki. Z pleckami złączone są przody taśmą gumową 2 cent. szeroką, a 17 cent. długą, pokrytą materyą przymarszczoną i przyszytą do przodów przy 9, a do pleców przy 10. Kapelusz podajemy oddzielnie na ryc. 9.



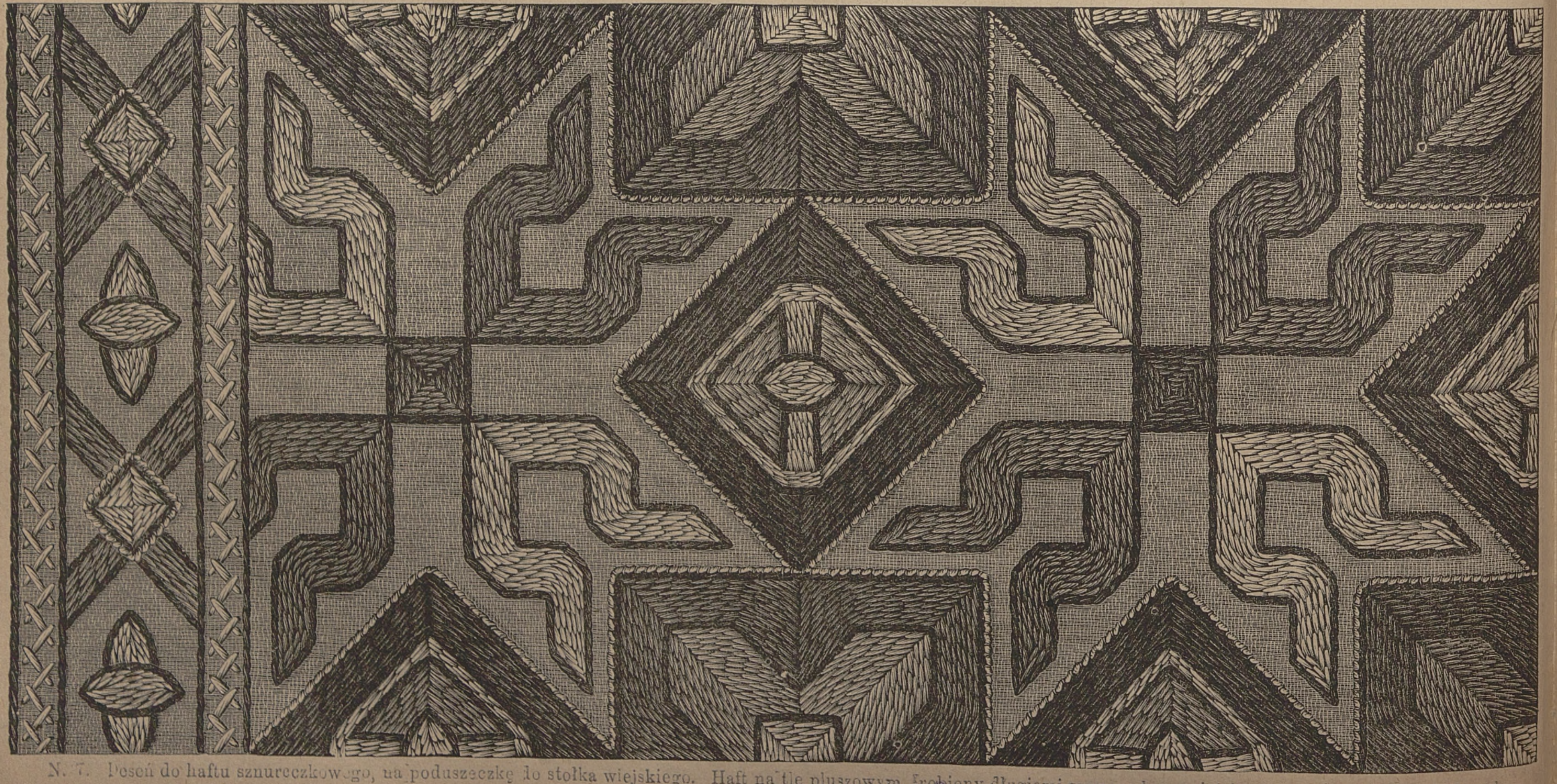
N. 6. Stołek wiejski z poręczą rzeźbioną i z poduszką ozdobioną haftem kolorowym. Deseń do haftu ryc. 7, deseń do płasko-rzeźby fig. 45.

N. 11. Paletocik z podwójną podszewką.

Paletocik należący do kostjumu wiosennego, spacerowego, miał dla ciepła daną podwójną podszewkę, flanelkową i z materyi jedwabnej. Pierwszą zeszywa się gładko razem z wierzchem; chcąc uniknąć ujmowania się na szwach lekkiej podszewki jedwabnej, kraje się takową o kilka cent. dłużej pod plecy

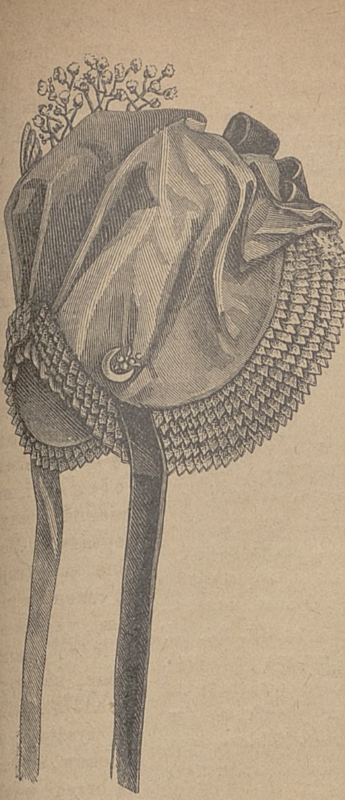


N. 5. Rzucik do haftu ściegiem płaskim na parasoliku ryc. 27 w N-rze 19.



N. 7. Deseń do haftu sznureczkowego, na poduszeczkę do stołka wiejskiego. Haft na tle pluszowym, robiony długiemi sznureczkowemi ściegami, filozelą w kilku kolorach.

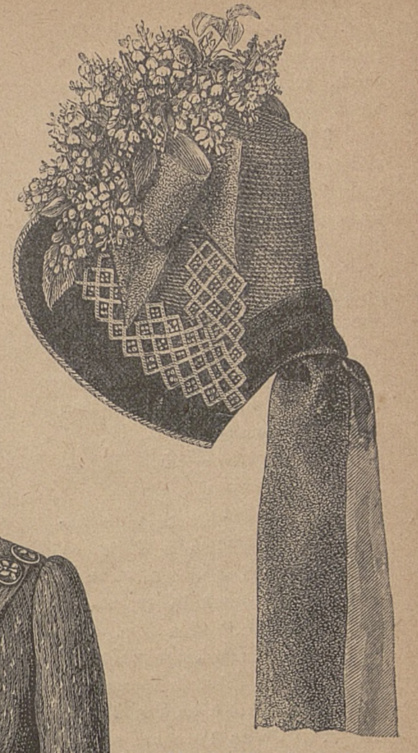
i boczki, przymarszcza się drobno zbywającą długość i przyszywa szwem obrąbkowym do flanelkowej podszewki. Pod przody i rękawy daje się jedwabną podszewkę gładko. Cały kostium odrobiony był z wełnianego dyagonalu.



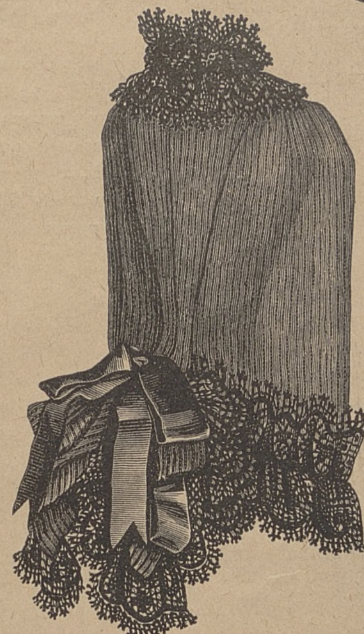
N. 8. Kapotka z główką z materyi a rondkiem słomkowem.



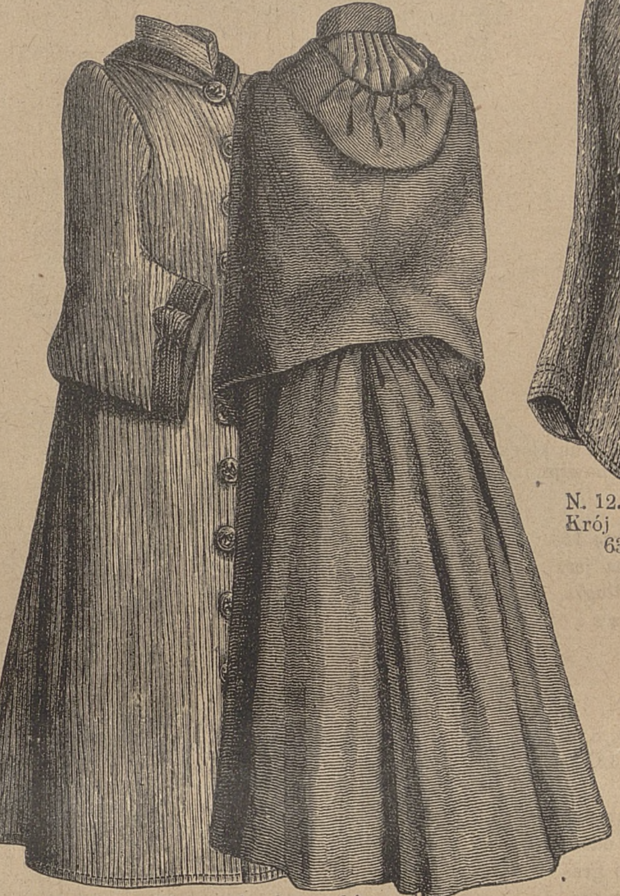
N. 11. Paletocik z podwójną podszewką.



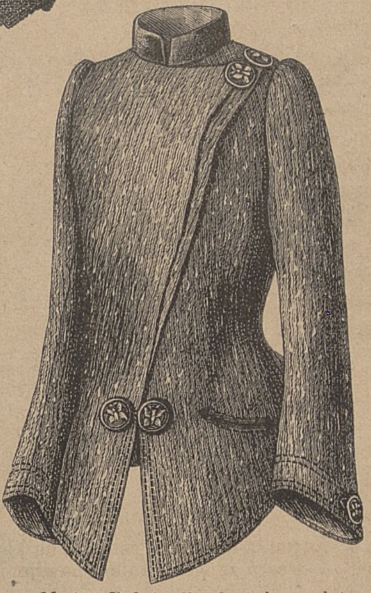
N. 9. Kapelusz słomkowy.



N. 10. Okrycie letnie. Patrz ryc. 20 w N. 19. Krój na arkuszu N. V, fig. 31—33.



N. 13—14. Płaszczyk z kapturkiem, dla osoby starszej. Krój i opis na arkuszu N. X, fig. 57—62.



N. 12. Paletocik skośnie zapięty. Krój na arkuszu N. XI, figury 63—67. Opis w N-rze 19.

N. 15—24. Pasmanterye do ozdoby sukien, płaszczyków i t. p. Desenie w naturalnej wielkości na dodatku z formami, fig. 95, 96 i 98.

Obok wełnianych koronek, stanowiących najmodniejszą ozdobę ubrań wiosennych, nie mniej są ciągle używane rozmaite szmuklerskie ozdoby, wyrabiane z perełek, dżetu, złotych i stalowych plecionek i sznureczków, ze szneli, sutaszu i jedwabiu. Różne ładne próbki tych wyrobów dajemy na ryc. 15—24.

N. 27. Kapotka tiulowa z dyademem z kwiatów.

Fason kapelusza stanowi zgrabna foremka ze sztywnego czarnego tiulu. Rondo w środku przecięte i wysoko w górę podniesione, obejmuje się z brzegu złota, 1 cent. szeroką plecionką i pokrywa bufowanym, gładkim, czarnym tiulem, zarówno jak główkę. Z tyłu dodaje się część oddzielną w górę odwiniętą, która podnosi w górę bufowane pokrycie główki. Karczek ten składa się z czterech, płasko na złotym plecionym sznurku ułożonych bufek, jedna na drugą zachodzących, razem 4 i pół cent. szerokich, w środku na 10 centym. w ząb wzniesionych. Kokardy i szarfy z wstążki aksamitnej, 5 cent. szerokiej. Dyadem z kwiatów, łososiowego koloru i ciemnych liści.

N. 28—29. Wachlarze spacerowe.

N. 28. Wachlarz haftowany.

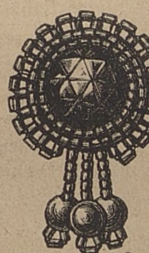
Oprawa wachlarza z czarnego politurowanego drzewa, bogato ozdobiona była złotem i srebrem; na czarnem atłasowem pokryciu kwiaty, liście i gałązki haftowane były kolorowemi jedwabiami. Sznur, kwasty i obrączka do zamykania, jedwabne ze srebrem.

N. 29. Wachlarz ozdobiony kokardami z wstążki.

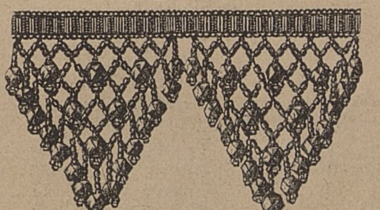
Tak oprawa jak i pokrycie atłasowe wachlarza było koloru bronzowego; przez obrączkę górną przewleczone dwie wstążki razem 175 cent. długie, bronzowa i vieilor, raz w górze, drugi raz w odstępie 18 cent. na kokardę związane i służące do zawieszenia wachlarza na ręce.

N. 32—33. Paletocik krótki dla panienek lat 10—12. Krój jak do ryc. 14 w N-rze 19. Deseń wyszycia na fig. 97.

Paletocik podany z przodu na ryc. 32, odrobiony był z jasno orzechowego dyagonalu, ozdobiony pletnią takiegoż koloru i podszyty materyą mienioną w paski. Przody są trochę skośnie ścięte od góry do dołu i dopełnione od spodu przyszytemi kamizelkowemi częściami, zapiętemi na duże szmuklerskie guziki. Części kamizelkowe, mające w górze 10, u dołu 16 cent. szerokości,



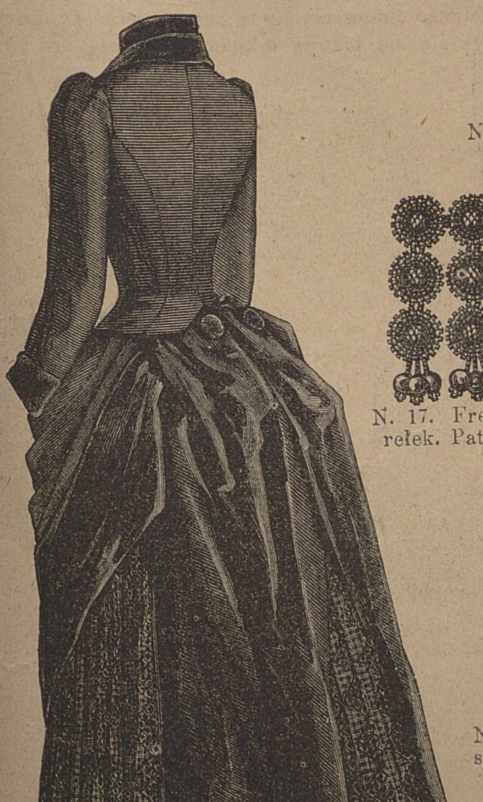
N. 16. Grelotka do frendzli ryc. 17.



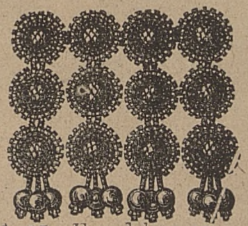
N. 15. Frendzla siatkowa z perełek.



N. 18. Kwaścik do ryc. 19.



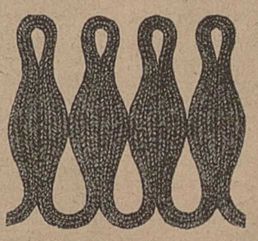
N. 25. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 1. Krój na arkuszu N. IX, fig. 48—56.



N. 17. Frendzla z perełek. Patrz ryc. 17.



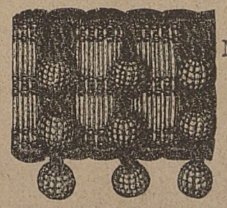
N. 20. Torsadka z tasiemeczki. Deseń fig. 95.



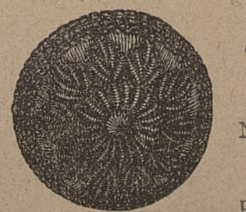
N. 21. Torsadka szmuklerska.



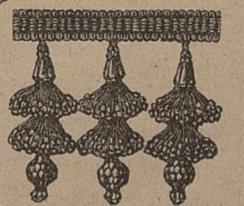
N. 22. Część pletni na torsadkę ryc. 21.



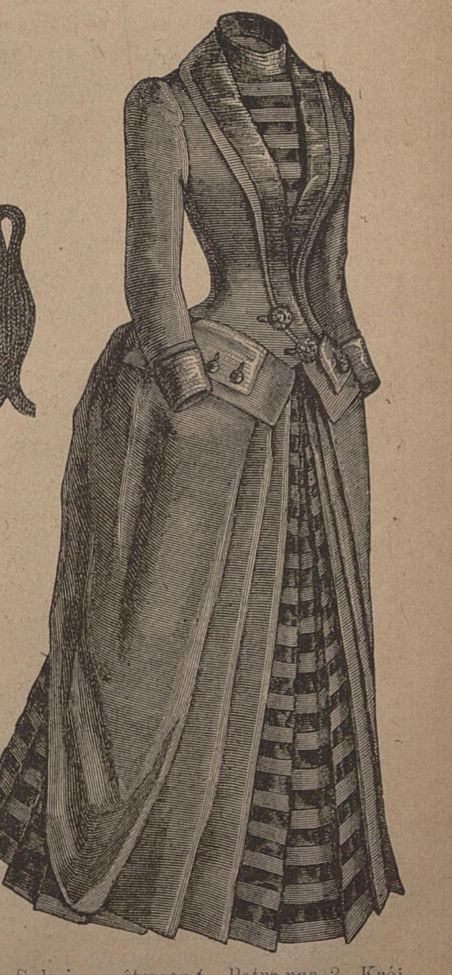
N. 23. Torsadka ze szneli, sznureczka złotego i perełek.



N. 24. Guzik szmuklerski.



N. 19. Frendzla kwaścikowa. Patrz ryc. 18.



N. 26. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 2. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—13.

naszyte są 6—12 razy pletnią. Sposób naszycia pletni na przodach, mankietach i kołnierzu wskazuje ryc. 32 i fig 97. Na ryc. 33 widzimy plecy takiego paletocika, ozdobionego nowym rodzajem pletni, tkanej w grupy podwójnie z wydrążeniem, której próbki dajemy na ryc. 21 i 22, a model wyszycia na arkuszu z krojami fig. 96 i 98.

N. 34 i ryc. 18 w N-rze 19. Płaszczyk podróżny. Forma na arkuszu z krojami N. III, fig. 19—25.

Praktyczny płaszczyk podróżny odrobić można z Chewiotu gładkiego lub w deseń, albo z niełatwo przemakalnego materyału „Loden.“ Na fig. 19a do 21a, wskazujemy w jaki sposób dopełnić od dołu formę naturalnej wielkości na fig. 19 do 25. Przody na 10 cent. szerokości podszyte sztywnem płótnem i zwierzchnim materyałem, wykładają się podług kropkowanej linijki na ranwers, zakładają jeden na drugi i zapinają n dwa rzędy guzików. Środkową czę pleców zeszytą z częściami boczne od *d* do wcięcia w pasie, składa s gwiazdką do gwiazdki i dwukropkie do dwukropka, w 2, 7 cent. szerok kontrafałdy, zaszyte do wcięcia w p sie, dalej od *f* do dołu zeszywa s spódnicę płaszczyka, a w górze od do *h* daje się zaszewki. Ażeby fałd się nie ciągnęły, trzeba je w miejsc wskazanem cienką linijką na fig. 2 na 5 cent. szerokości poprzecznie n ciąć, a rozchodzące się brzegi z lew strony do pleców przyszyć. Pase 5 cent. szeroki, na środku pleców n guziki spięty, przeprowadza się po spód przez otwory w szwach bocz nych i zapina z przodu. Wysokoś mankietów oznaczona jest cienką li nijką na fig. 22. Pod kieszonki daj się mocną podszewkę i przystębnowy wa je dwa razy na przodach. Kape lusz słomkowy w kształcie toczka ubrany fałdowanym aksamitem i pom ponami z piór.



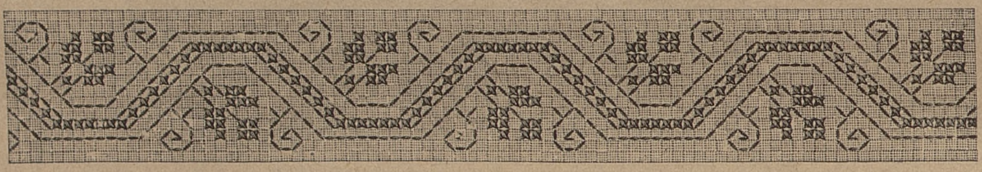
N. 27. Kapelusz tiulowy podpięty kwiatami.



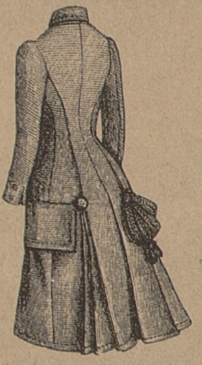
N. 28. Wachlarz spacerowy.



N. 29. Wachlarz spacerowy.



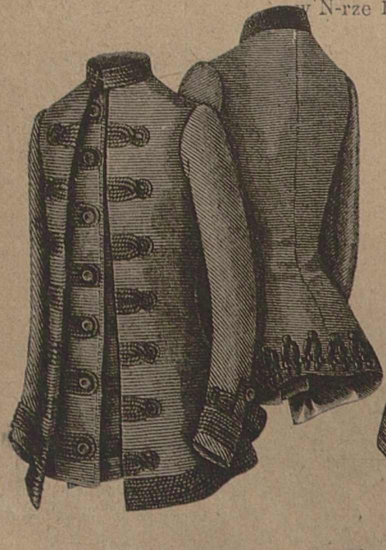
N. 30. Szlaczek.



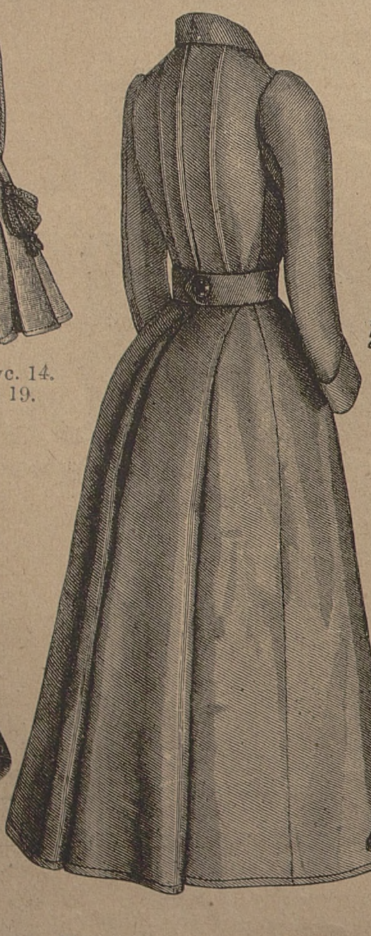
N. 31. Plecy do ryc. 14. w N-rze 19.



37. Plecy ryc. 36.



N. 33—33. Paletocik krótki dla panienki lat 10—12. Deseń na fig. 97.



N. 34. Płaszczyk podróżny. Krój na arkuszu N. III, fig. 19—25.



N. 35. Płaszczyk z koronkowego materyału.



N. 36. Dolman. Patrz ryc. 37. Krój i opis na arkuszu N. XVIII, fig. 92.



N. 38. Sukieneczka z karczkiem dla dziewczynki lat 7—9. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 31—38.